



**Z KOBIECIAMI
O KOBIECIACH
DLA KOBIECI**

Str. 1, 3, 5, 10

**ZIEMI WYDARTE
ŚWIATŁO**

Str. 8 i 9



ERICH
von DANIKEN

**„BOGOWIE
z KOSMOSU“**

Str. 4

TAJEMNICE BUNKRA

Str. 7

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 10 (900)

6 MARCA 1975 ROKU

CENA 3 ZŁ



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

LEPSZA PRACA jest dziś najważniejszą sprawą gospodarczą i społeczną. Jest warunkiem niezbędnym utrzymania szybkiego tempa rozwoju kraju, czynnikiem, który decydować będzie o pomyślnej realizacji programu VI Zjazdu i I Krajowej Konferencji PZPR.

O tym, jak wypełnialiśmy nasz obywatelski obowiązek, co już zrobiliśmy i jakie zadania jeszcze stoją przed nami, piszemy dziś w artykule: „Partyjny bilans otwarcia”, którym witamy obrady XVIII Miejskiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej łódzkiej organizacji PZPR.

W codziennej drodze wykuwania nowego kształtu życia nieustrudzenie od lat towarzyszą nam nasze Panie. Ich trud i wysiłek, ofiarność i dobroć wplotły się już w historię naszego kraju. Piszą o tym nasi reporterzy, przypominając piękne życiorysy takich kobiet jak MARII GOŁĘBIAKOWEJ — pierwszej kobiety dyrektora w naszym przemyśle, czy prof. dr NATALII GAJL, niestrudzonego naukowca, pedagoga i działacza społecznego. Na ich ręce składamy Wszystkim Polskim Kobietał słowa pięknych wierszy Bogusława Sikorskiego.

Wielkie budowy fascynują i przyciągają jak magnes. Reporterskie drogi dziennikarskich penetracji zawiodyły tym razem naszego redakcyjnego kolegę do Bełchatowa, na budowę elektrowni, która wprawdzie jeszcze na dobre nie ruszyła, ale już „zadziałała”. „Szukałem w ludziach i w pejzażu — pisze R. Binkowski — symboliki nowego życia. I odchodzącego...”. Czy udał mu się ten zamysł? Polecamy reportaż „Ziemi wydarte światło”.

Nazwisko Ericha von Dänikena, genialnego samouka i dobrego pisarza nie jest obce polskiemu czytelnikowi. Jego wspaniała książka „Wspomnienia z przeszłości” momentalnie zniknęła z półek księgarskich i jest praktycznie nie do zdobycia. Chcąc w jakiś sposób przybliżyć frapującą tematykę twórczości tego autora, rozpoczynamy druk obszernych fragmentów innej jego powieści, zatytułowanej: „Bogowie z kosmosu”. Życzymy przyjemnej lektury przez najbliższych kilka tygodni.



XVIII ŁÓDZKA

PARTYJNY BILANS OTWARCIA

Leżą przede mną na biurku materiały na XVIII Konferencję Sprawozdawczo-Wyborczą łódzkiej organizacji partyjnej. To plan dwuletniej kadencji Komitetu Łódzkiego PZPR. Wielokrotnie, z okazji kolejnych posiedzeń plenarnych KŁ, narad aktywu społeczno-gospodarczego, obrad komisji problemowych sięgałem po opracowania cząstkowe, wypracowane bądź sumujące określony odcinek czasu. Dziś mamy do czynienia z pewnego rodzaju bilansem partyjnego działania, z całościowym, merytorycznym ujęciem dokonań łódzkiej organizacji partyjnej, a wraz z nią całego społeczeństwa naszego miasta.

Dalszy ciąg na str. 2

KOBIETA WSPÓŁCZESNA

KONRAD TUROWSKI

GOŁĘBIAKOWA



W „Trybunie Ludu” z 5 lutego 1949 roku Stefan Kozicki pisał:

„Maszynistka, której dyktowałem poniższy reportaż, zafrapowana jego

tematem rozpoczęła ze mną dyskusję na temat: — Jak myślicie, czy tow. Gołębiakowa da sobie radę czy nie? Doszliśmy do zgodnego wniosku: da sobie radę. Tysiące kobiet, wysuwanych na przodujące stanowiska w Ludowej Polsce, daje sobie radę nie gorzej od mężczyzn.

Tow. Maria Gołębiakowa — pisał Stefan Kozicki — od 1 bm objęła w PZPB nr 22 stanowisko dyrektora naczelnego. Stanowisko pierwszej w historii polskiego przemysłu kobiety-dyrektora naczelnego dużej fabryki włókienniczej. Pierwsze godziny pracy na nowym stanowisku, to jakby wyprawa odkrywcza na nie znaną wyspę. Uczucie odkrywczy trwał jednak tylko do zetknięcia się z załogą fabryki.

— Witala mnie przodownica pracy, tow. Zofia Grzello, prostymi, własnymi słowami. Poczulałam się „w domu”, wśród swoich.

Nie obyło się w pierwszych trzech dniach pracy bez trudności. Ustupający dyrektor zostawił pustą, dokładnie wymięcioną (nawet z terminowego kalendarza!) biurko. Do tej pory nie sporządzono aktu zdawczo-odbiorczego, podobno jakieś papiery „zginęły”. Ale nowy dyrektor-konkludował autor reportażu-pracuje dobrze i przy pustym biurku. Nie najważniejsza jest praca z papierkami a najważniejsza jest praca z ludźmi...”

„Przyjaciółka” publikowała wypowiedź dyrektora naczelnego Marii Gołębiakowej:

— W naszej fabryce odczuwa się dotkliwy brak wszelkich urządzeń higienicznych, umywalni, dziecięca. Cóż dziwnego, fabrykant-kapitałista Koenig, nie troszczył się o robotnika. To też dużo jeszcze mamy przed sobą zadań do wykonania. Muszę zaznaczyć, że 65 proc. robotników w naszej fabryce — to kobiety. Dotychczas mężczyźni nie chcieli dopuścić kobiet na wyższe stanowiska...”

„TKACZKA-DYREKTOREM FABRYKI”. „TOW. MARIA GOŁĘBIAKOWA PO 23 LATACH PRACY PRZY WARSZTACIE ZOSTAŁA NACZELNYM DYREKTOREM PZPB NR 22” — wielkimi tytułami informowały inne gazety.

Nominacja stała się głośnym wydarzeniem. Portretowe zdjęcie kobiety-dyrektora zamieścił „Kalendarz Robotniczy” na 1950 rok, obok podobnego-przodownicy pracy z PZPB w Rudzie Pabianickiej — Wandy Gościńskiej.

Dalszy ciąg na str. 5

PARTYJNY BILANS OTWARCIA

Dalszy ciąg ze str. 1

Oczywiście te dwa lata to przedział czasu, którego nie można wyrwać z szerszego kontekstu pogrudniowej rzeczywistości, naszego wczoraj i naszej przyszłości, które od 1970 roku spotykają się na linii harmonijnego rozwoju. Dlatego też podstawowym celem działania instancji partyjnej w minionej kadencji była konsekwentna kontynuacja zadań wynikających z Programu Rozwoju i Modernizacji Łodzi na lata 1971-1975.

PROGRAM ROZWOJU...

którego założenia nie trzeba przypominać, jako że stał się własnością wszystkich mieszkańców Łodzi, w tym przedziale czasowym został wykonany i na niektórych odcinkach znacznie przekroczony. Był to więc czas twórczo wykorzystany, przyniósł rezultaty, które satysfakcjonują całe społeczeństwo i które są wymienną przesłanką dalszych sukcesów — w roku obecnym i następnej pięciolatce.

Nielatwo w gąszczu liczb dokonać wyboru. Tym bardziej że każda z nich znaczy wiele, za każdą kryje się potężny wysiłek

nie mniej ważne — gwarantując załogom nieporównywalnie lepsze warunki pracy i korzyści socjalno-bytowe. To kombinat „TEOFIŁÓW”, „BISTONA”, „FAKO”, „DYWILAN”, „POLANIL” i wiele innych. Prezentowaliśmy je naszym Czytelnikom w artykułach, fotoreportażach nie tylko jako synonimy postępu i nowoczesności, ale także jako materialne wyrazy naszych możliwości myślenia i działania. Powstały one przecież szybciej niż to wynikało z napiętych cykli inwestycyjnych, w tempie nie znanym w przeszłości. Satysfakcjonują nie tylko te „wizytówki” Łodzi, ale również fakt, że już w obecnym pięciolecu nie będzie w Łodzi zakładu, w którym nie zostaną dokonane zmiany na lepsze. To cieszy najbardziej, bo świadczy o powszechności przemian, jakie zachodzą w gospodarce narodowej.

Z przedstawionych wyżej faktów wynika na zasadzie reakcji łańcuchowej szereg innych, pozytywnych konsekwencji. Wzrosła wydajność pracy o 9,6 proc., przyrost produkcji nastąpił w 93,3 proc. z tytułu wzrostu wydajności pracy. Dodatkowa produkcja w latach 73-74 osiągnęła wartość ponad 3,5 mld zł tzn., że podjęte przez załogi zobowiązania przekroczone zostały o 30

w parze z troską o coraz lepszą jakość życia. To z kolei problem wieloaspektowy. Jednakże w większości wypadków zdeterminowany sytuacją mieszkaniową. Jeszcze często musimy, niestety, stawiać znak równości między „jak żyjesz — jak mieszkasz”. Z tej partyjnej troski wynika wysoka ranga budownictwa mieszkaniowego, jego obecnie priorytetowa pozycja. W bieżącej pięciolatce wybudowanych zostanie 150 tys. izb, o 10 tys. więcej, mimo iż początkowo plan ten nie wydawał się realny. Pozwoli to wprowadzić 45 tys. rodzin do nowych mieszkań.

ZYC

— to także dobrze, wygodnie i bez utrudnień funkcjonować w organizmie społecznym, zaspokajając codzienne potrzeby i te, które określamy umownie potrzebami ducha.

Potrzeby materialne to znowu ogromny obszar, w którym nie ma pół, polaci o drugorzędnym znaczeniu. Składają się nań zamierzenia tak prozaiczne jak rozwój sieci wodociągowej (300 km w bieżącej 5-letce, 190 km kanalizacyjnej), dostawy energii cieplnej (rozpoczęta budowa EC-IV), budownictwo nowych tras komunikacyjnych i uszlachetnianie nawierzchni dróg, usprawnienie komunikacji, rozwój handlu, gastronomii (w ostatnich latach oddano do użytku ponad 42 tys. m kw. co jest dużo, a jednocześnie i mało), budowa żłobków (14), przedszkoli (28), szkół (12), przychodni służby zdrowia (7), szpitali, domów starców, itd. Wreszcie to, bez czego żadna metropolia o znaczeniu ponadregionalnym — a za taką bez fałszywej skromności można uznać Łódź — nie będzie spełniać prawidłowo swej roli — rozwój nauki i kultury.

W NASZYM PIŚMIE

co wynika z jego charakteru i statusu tygodnika społeczno-kulturalnego, nie tylko w ostatnich miesiącach, ale i latach, poświęcaliśmy tym problemom wiele uwagi. Aranżowaliśmy dyskusje, udostępnialiśmy nasze łamy naukowcom, twórcom i działaczom kultury, odpowiedzialnym działaczom partyjnym. Nie chcę więc powtarzać tego wszystkiego, co z inspiracji zainteresowanych środowisk, potrzeb dnia dzisiejszego i przyszłości, znalazło aprobatę władz politycznych i administracyjnych naszego miasta. O doniosłości rangi nauki i kultury nikogo nie trzeba przekonywać, jest ona zagwarantowana w uchwałach partii i zapisana w świadomości ludzi, którzy za naukę i kulturę ponoszą odpowiedzialność. Potrzeby w tym zakresie są duże i wymagają dłuższego czasu, aby je w pełni zaspokoić. Są także jeszcze rzeczywiste, które trudniej wykręcić i zagospodarować niż w przemysłu, ale są one niewątpliwie. W nowych pomysłach, inicjatywach, aktywności, prostej zaradności i troskliwej uwadze ludzi, którym wyobraźni przecież nie brakuje. Nie poruszając więc tego całego kompleksu zagadnień, godzi się jednak przypomnieć, że dzięki staraniom łódzkiej instancji partyjnej życie kulturalne naszego miasta zostało w ostatnim czasie wzbogacone powołaniem nowych

instytucji kultury. Są to Zespół Realizatorów Filmowych „Profil”, który jest szansą reaktywowania twórczego środowiska filmowego, Oddział Krajowej Agencji Wydawniczej (KAW) oraz miesięcznik Informator Kulturalny „Kalejdoskop”. Z bogactwa form działania w kulturze wymieńmy dla przykładu tylko ideę, która już wykrystalizowała się i z którą można śmiało łączyć duże nadzieje. „Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką”.

Skromność i dobre obyczaje nakazują, żeby nie pisać o sobie, w dodatku we własnych gazetach i czasopismach. Uczynię chociaż raz wyłom w tej skądinąd słusznej zasadzie. Chodzi mi o dziennikarzy prasy, radia, telewizji, środowisko ilościowo nie tak liczne, ale mające, jako ważne ogniwo frontu ideologicznego, wielką rolę do odegrania. Kształtowanie opinii społecznej, krzewienie socjalistycznych, zaangażowanych postaw, pobudzanie inicjatyw, uścisnianie dyscypliny społecznej, umiejętne zdobywanie milionowych rzesz sojuszników dla wspólnego dzieła — to zadania środków masowego przekazu. W ocenie instancji partyjnej ten trud, inicjatywa, pomysłowość i ofiarność środowiska dziennikarskiego, zostały w pełni uhonorowane. Sądzę, że pokrywa się ona całkowicie z oceną nas wszystkich: czytelników prasy, radiosłuchaczy, telewizorów.

KONFERENCJA PARTYJNA

jako najwyższe forum łódzkiej organizacji zajmie się całokształtem życia społeczno-politycznego w mieście, funkcjonowaniem administracji i gospodarki, terenowych ogniw władzy ludowej, związków zawodowych i organizacji masowych — słowem — wszystkimi obszarami, które w ten czy inny sposób składają się na rzeczywistość w której pracujemy i żyjemy. Trudno sobie wyobrazić, żeby było inaczej, chociaż waga problemów poddyktuje odpowiednie proporcje w dyskusji i podjętych uchwałach.

Dla PARTII, która wzięła na siebie odpowiedzialność za losy kraju, nie ma miejsc zamkniętych, stref niczyich, obojętnych. W tym więc sensie, to najwyższe gremium partyjne Łodzi, jest nie tylko wydarzeniem najwyższej rangi dla ponad 86-tysięcznej rzeszy członków i kandydatów PZPR, ale dla całej społeczności naszego miasta, wszystkich ludzi pracy, ogółu obywateli.

TROSCE PARTII

o całe społeczeństwo towarzyszy głębokie i żywe zainteresowanie wszystkich obywateli treściami partyjnego działania. Dlatego tylko pozornie wydaje się, że sprawy „czysto” partyjne interesują wyłącznie samych członków partii. Tak nie jest, wszystkich interesuje „jaka ta partia jest”, jak działa, funkcjonuje, zmienia się, usprawnia, racjonalizuje i udoskonala. W tym sensie trudno mówić kategorycznie o sprawach wewnątrzpartyjnych, bo są one jakby przez swą doniosłość w symbiozie ze sprawami publicznymi. (Pisałem o tym niedawno w artykule „Partia o sobie”).

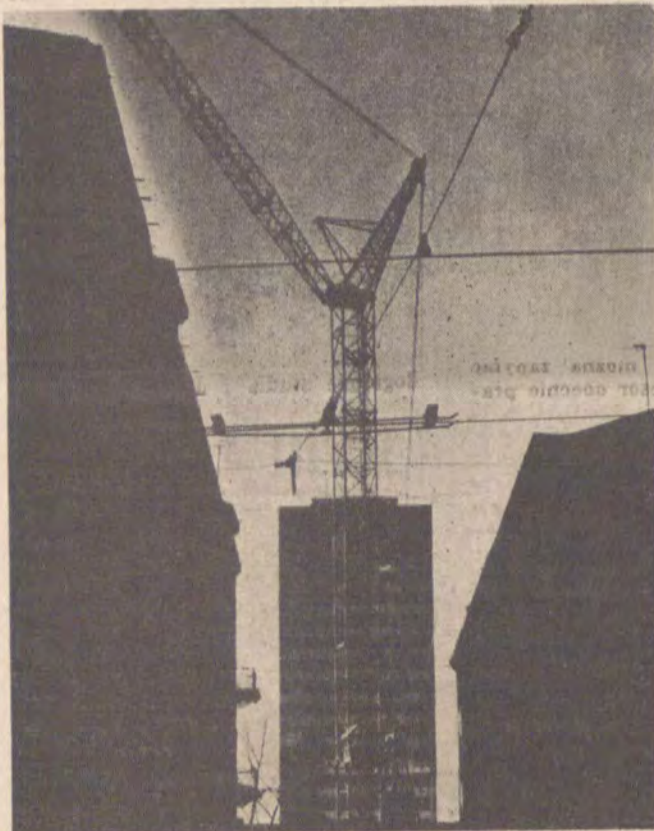
Materiały na XVIII Konferencję są pod tym względem również bogate, wnoszą wiele wiedzy o tym jak partia działa. Nie sposób w jednym artykule przedstawić wszystkiego, zaprezentować choćby w największym skrócie problemy ideologiczne, polityczne, organizacyjne, bogactwo form i metod działania, wnioski wynikające z licznych badań i opracowań. Jedną rzecz wszakże chciałbym wyluskać i uczynić z niej pewien rys charakterystyczny; robotniczy charakter naszej partii, nie z nazwy, ale z samej istoty jej funkcjonowania w społeczeństwie ludzi pracujących. W końcu 1973 r. procent robotników w partii wynosił 44 proc., obecnie 46. W roku 1974 decydujący wpływ na poprawę składu socjalno-zawodowego miało przyjęcie ponad 3500 robotników tj. prawie 85 proc. nowych kandydatów partii. Jest to konsekwentna realizacja wytycznych VI Zjazdu PZPR o umocnieniu robotniczego trzonu partii. Jest to także efekt pracy ideowo-wychowawczej instancji i ogniw partyjnych oraz stałego pogłębiania więzi z klasą robotniczą. Twierdzenie to można odwrócić: JEST TO TAKŻE AKCEPTACJA KLASY ROBOTNICZEJ, GŁÓWNEJ SIŁY NASZEGO NARODU, DLA POLITYKI PARTII. Dowodów takiej akceptacji, więcej, czynnego poparcia (choćby „banki 20 i 30 mld”, robotnicza odpowiedź na listy tow. E. Gierka i tow. P. Jaroszewicza) nie brakuje.

RZECZYWISTOŚĆ

TO, w czym bierzemy udział, co obserwujemy, narzuca optymizm. Trzeba być naprawdę dziwnym człowiekiem, żeby nie być optymistą. Jest też chyba takich ludzi niewielu. Nie znaczy to oczywiście, że optymista nie dostrzega trudności, napięć, kłopotów, tych ciemnych stron życia, których nie potrafimy jeszcze całkowicie wyeliminować. Czy jest to w ogóle możliwe? — irna sprawa. W każdym razie, ta świadomość nam towarzyszy, na co dzień, że nie wolno oglądać się do tyłu, lecz patrzeć w przód, jak i też wybiegać myślą poza horyzont — marzeniem. Wspomaga nas samoświadomość własnych możliwości, które są nieograniczone, mamy argumenty w postaci konkretnych dokonań i ambitne, realne programy i plany działania na przyszłość.

W tym sensie XVIII Konferencja nie zamyka ostatnich dwóch lat, a jeśli dokonuje bilansu, to bilansu otwarcia na dalsze lata. Każdy rok następny będzie miał swoją wagę, wnosił nowe problemy. Może trudniejsze? może łatwiejsze? — bo nasze możliwości stale rosną. Pewne jednak jest, że rok obecny, bez żadnego „ale”, jest sprawdzianem szczególnie trudnym. Pamiętajmy o tym codziennie, co niedawno powiedział towarzyszy Edward Gierka: „OSIAGNAĆ DOBRE WYNIKI W 1975 ROKU, TO SPRAWA HONORU NASZEJ PARTII. JEST TO SPRAWA CAŁEGO NARODU, KTÓRY CZTERY LATA TEMU PODJĄŁ DONIOSŁE DZIEŁO PRZYSPIESZENIA SOCJALISTYCZNEGO ROZWOJU KRAJU I WIELKIM ZBIOROWYM WYSIŁKIEM DZIEŁO TO POMYŚLNIE REALIZUJE”.

PAMIĘTAJMY O TYM KAŻDEGO DNIA!



Fot. J. Stankiewicz

setek tysięcy ludzi. Nie ulegając magii cyfr, z uśmiechem pokwitujemy kłopoty autora tych słów, i pochylimy się uważnie nad rubryką z tytułem „ma”.

ZACZNIJMY OD PRZEMYSŁU

który ma szczególnie dobre wyniki. Na koniec roku 1974 wartość produkcji i usług osiągnęła kwotę 88,8 miliarda zł tj. o 18,9 proc. więcej niż w 1972 r. W końcu bieżącej pięciolatki przekroczyliśmy 100 miliardów, co stanowić będzie 63-procentowy przyrost produkcji w stosunku do roku 1970. Tak wysokie tempo wzrostu możliwe jest dzięki inwestowaniu w bazę produkcyjną. Kosztem 25 mld zł w latach 1971-1975 wybudowanych zostanie 30 nowych zakładów, a ponad 100 dalszych całkowicie lub częściowo zmodernizowanych. Znakomita większość z tej listy zakładów już pracuje, produkując nowoczesniejsze wyroby — a co

proc. Równocześnie, w parze ze wzrostem wydajności pracy podniosła się średnia płaca (o 31,5 proc. w porównaniu do roku 1970). Za rok ubiegły wynosiła 2929 zł. Kolejne ogniwo tego łańcucha, to wzrost sprzedaży detalicznej towarów (o prawie 15 proc. w ciągu ostatniego roku) i usług (ok. 21 proc.).

Wyniki te osiągnęliśmy w niełatwym trudzie, pokonując jakościowo coraz trudniejsze bariery wzrostu. Partia wytyczając strategiczne cele gospodarki nie zwalnia się od bieżącego sterowania działalnością poszczególnych grup zawodowych, aby zapewnić całemu społeczeństwu jak największe efekty socjalno-ekonomiczne. Przykładem takiego stanowiska niech będą powszechne przeglądy zasobów oraz poziomu i struktury zatrudnienia. Bez udziału wielotysięcznego aktywu partyjnego nie osiągnęlibyśmy takich efektów.

Rozwój gospodarki, podstawa naszej egzystencji i jednocześnie przyszłościowy atut, idzie

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MA KOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ SŁOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WIŁMANSKI (drugi sekretarz).
Stale współpracują: ANDRZEJ P. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

KOBIETA WSPÓŁCZESNA



Rozmowa z prof. dr. Natalią Gajl, dziekanem Wydz. Prawno-Administracyjnego UL, wiceprzewodniczącą RN M. Łodzi.

„ODGŁOSY”: Pani Profesor, ta rozmowa nie jest wcale pretekstowa, choć może sprawić takie pozory, ponieważ spotykamy się w przededniu Międzynarodowego Dnia Kobiet. I chyba właśnie dlatego warto pewne sprawy uściślić, warto zastanowić się, czy istnieje potrzeba mówienia o równouprawnieniu kobiet?

PROF. DR. NATALIA GAJL: No cóż, jestem prawnikiem i może to zabrzmieć sloganowo, kiedy stwierdzę, że teoretycznie, w świetle prawa mężczyźni i kobiety w naszym kraju jak i w szeregu innych mają jednakowe uprawnienia. Można wszakże zastanawiać się, czy samo życie na to pozwala. Jest dla mnie rzeczą oczywistą, a znam to nie tylko z teorii, że obowiązki rodzinne i zawodowe kobiety czynią wyegzekwowanie tych praw sprawą trudną. Obserwuję to wszystko na stosunkowo wąskim wycinku życia jakim jest uniwersytet, ale przyznam się, że staram się mieć w stosunku do młodych pracowników naukowych — kobiet nieco więcej pobłażliwości. I nie chodzi tu wcale o coś, co by można nazwać „babską solidarność”. To wynika z charakteru pracy uczelni. Jeśli kobieta pracująca w biurze otrzymuje urlop macierzyński, to ją to, w jakimś sensie, satysfakcjonuje, a w każdym razie przerwa w pracy nie stanowi zasadniczej przeszkody w jej karierze zawodowej. Na uczelni każda chwila wyłączenia się z pracy naukowej jest na pewno dużą przeszkodą i z tego powodu dla asystentki na przykład urlop macierzyński nie rozwiązuje sytuacji. Ona w tym wypadku bowiem traci więcej niż w innych zawodach. Jest to zwykle pierwszy okres robienia kariery naukowej, gromadzenia materiałów, pracy w bibliotekach, pracowniach itp. Okres pracy nad doktoratem jest zastępczo dłuższy dla kobiety niż dla mężczyzny. Później, kiedy młode pracownice naukowe odchowują już dzieci i mogą w pełni pracować nad swoim rozwojem, robienie habilitacji przychodzi im często łatwiej i krócej niż osiągnięcie pierwszego

stopnia naukowego. A przecież prawo jest w tym wypadku bezwzględne, przewiduje ten sam okres rotacji, chociaż powinno chyba uwzględnić sytuację asystentki — matki, powinno premiować macierzyństwo wydłużając w tym wypadku dozwolony czas na zrobienie doktoratu.

„ODGŁOSY”: Mimo to nie biał kobiet pracujących naukowo...
PROF. DR. NATALIA GAJL: Bo to wcale nie jest problem plei. Od tylu lat egzaminuję i mogę stwierdzić, że studentki są często lepiej przygotowane niż ich koledzy. Z drugiej strony nauka jest tą dziedziną, której grozi feminizacja. Nie ma tej groźby także na kierowniczych stanowiskach. Kobieta minister czy choćby tylko dyrektor to wciąż jeszcze rzadkie zjawisko. Dobrze więc, że my, kobiety, mamy pewną choć przewagę wśród panujących „królów”.

„ODGŁOSY”: A przecież pani Profesor jest wspaniałym przykładem kobiety, która tyle potrafiła zrobić w nauce...
Wystarczy między innymi wymienić choćby 2 prace z ostatniego roku „Budżet a skarb” i „Systemy finansowe przedsiębiorstw społecznych”.

PROF. DR. NATALIA GAJL: Problem nie w tym tylko tkwi. Mnie „kobiecość” w niczym nie przeszkadza. A obiektywnie biorąc byłam w trudnej sytuacji życiowej, po prostu rozpoczęłam studia równocześnie z wyjściem za mąż. Na pierwszym roku studiów urodził się mój syn. Mimo to nigdy nie chodziłam do dziekana prosząc o przełożenie terminu zaliczenia czy egzaminów. Przed doktoratem urodziła mi się córka. Sytuacja rodzinna przydała mi doprawdy wiele dodatkowych obowiązków. Mimo to nie przeszkodziło mi to w zrobieniu doktoratu. Dlatego jako dziekan jestem nie najlepiej nastawiona do tych studentek, które przychodzą usprawiedliwiać się swoją sytuacją rodzinną. Często jest to po prostu pretekst, żeby uniknąć pewnych rygorów, które nakładają studia.

„ODGŁOSY”: Obrabiała sobie, pani Profesor bardzo trudną, suchą dziedzinę badań...
PROF. DR. NATALIA GAJL: Ja wiem, że wciąż jeszcze tak tradycyjnie patrzy się na prawo finansowe. Ale proszę mi wierzyć, że dziś jest to dziedzina bardzo rozległa i już choćby przez to ciekawa. Nie można bowiem utożsamiać jej z dawnym prawem skarbowym, to jest wynikiem polityki finansowej, ani też z samym tylko prawem podatkowym i budżetowym, jak to było dawniej. W warunkach socjalistycznego państwa, co wynika z jego struktury, znaczenie prawa finansowego niepomniernie wzrosło. Dziś mamy tak szerokie działania państwa, że nawet samo tylko prawo budżetowe obejmuje szereg zagadnień, a więc i problemów społecznych i gospodarczych. Bo przecież dziś prawo finansowe obejmuje cały system kredytowy, system ubezpieczeń i dziedzinę zupełnie nową, najciekawszą: system finansowo-gospodarczy państwa.

Szukamy więc jako prawnicy form, w jakich prawo ma współdziałać ze strukturami ekonomicznymi, szukamy takich rozwiązań modelowych, w ramach których najlepiej można sterować gospodarką socjalistycznego przedsiębiorstwa. Budowa takich

konstrukcji norm prawnych jest bardzo atrakcyjna.

„ODGŁOSY”: Chodzi tu chyba o tworzenie nowych, najważniejszych form zarządzania...
PROF. DR. NATALIA GAJL: Sektor gospodarczy działa dziś tak szeroko, że jest koniecznością wypracowanie dla niego nowych, optymalnych form prawnych. Stosunkowo rzadko dawniej my prawnicy włączaliśmy się w tę dziedzinę czy może raczej zbyt rzadko byliśmy po-

legislacyjna. Ich czytelność a tym samym właściwa interpretacja jest na pewno ważnym zagadnieniem, bo często pewne błędy wynikają nie tyle z niezajomości co z nieprawidłowego odczytania norm prawa. W Rumunii na przykład poradzono sobie w ten sposób, że opracowano kodeks finansowy. To na pewno ułatwia orientację w tej masie przepisów, która składa się na prawo finansowe. U nas stworzenie kodeksu nie byłoby możliwe ze względu na

dużo seminarzystów zwłaszcza wśród studentów studiów zaocznych. Cóż, to znaczy, że nasza dyscyplina ma duże znaczenie praktyczne. Zresztą ten styk teorii z praktyką zauważa się także w pracach magisterskich. I choć często piszą je doświadczeni działacze gospodarczy studia dają im bardzo wiele, bo widzą oni problemy swoich „przedsiębiorstw” i innych zagadnień w kontekście makroekonomicznym. Zresztą, jak już mówiłam, prawo finansowe jest atrakcyjną dziedziną, gdyby dane mi było stanąć ponownie przed problemem wyboru na pewno wybrałabym dyscyplinę, w której pracuję, a gdzie rozpoczynałam pracę jako wolontariuszka, na czwartym roku studiów.

„ODGŁOSY”: Wiedza Pani Profesor na pewno ma niemały wpływ na decyzje Rady Narodowej, której jest pani wiceprzewodniczącą...
PROF. DR. NATALIA GAJL: Problematyka, którą zajmuję się w nauce, może być rzeczywiście przydatna, gdy Rada Narodowa podejmuje jakąś decyzję z dziedziny finansów. Dobrze jest, że w skład rady wchodzi specjalista z różnych dziedzin, są przecież także komisje, które zajmują się szczegółowymi problemami. Ale musimy pamiętać, o tym, że jesteśmy nie tylko specjalistami, że jesteśmy przede wszystkim radnymi.

„ODGŁOSY”: Jest także Pani Profesor dziekanem Wydziału Prawno-Administracyjnego. Jak ocenia Pani nowe pokolenie studentów zwłaszcza na Wydziale Prawa?
PROF. DR. NATALIA GAJL: Charakterystyczne są dwa zjawiska. Przede wszystkim dużo młodzieży chce wstępować na prawo oraz administrację, ale to samo można odnieść do pracujących, którzy wstępują na studia zaoczne. Jest tak duża liczba osób chcących i chcących studiować, że nie jesteśmy w stanie przyjąć wszystkich, którzy przychodzą. Studia prawne i administracyjne są na pewno atrakcyjne, niemniej nie w pełni już odpowiadają wymogom życia i dlatego chcemy je unowocześnić w zakresie zwiększenia wiedzy, w szczególności o skomplikowanych problemach gospodarki uspołecznionej i prawie gospodarczym. W nowym programie trzeba będzie zwrócić także większą uwagę na umiejętność interpretowania czyli stosowania prawa, trzeba pomyśleć o technice legislacyjnej. Proponujemy wobec tego przedłużenie studiów do lat pięciu, żeby student miał czas na dogłębne studia i dobre warunki do pisania pracy magisterskiej.

Drugie zjawisko, o którym warto wspomnieć, to napór w kierunku otwierania studiów podyplomowych. Do tej pory prowadziliśmy takie studia dla lekarzy i inżynierów i innych nieprawniczych zawodów, ale zamierzamy otworzyć także dla prawników z zakresu prawa pracy i prawa gospodarczego. Dowodzi to potrzeby stałego dokształcania i podnoszenia kwalifikacji w naszym zawodzie.

„ODGŁOSY”: Serdecznie dziękujemy za interesującą rozmowę.
Rozmawiał:
KONRAD FREJDLICH

szeni o tworzenie nowych form zarządzania. Weźmy choćby tylko taką sprawę, jak tworzenie struktury finansów — budżetów rad narodowych. To doprawdy bardzo złożone zagadnienie, bo przecież mamy tam do czynienia z wieloma współpracownikami wielkimi organizacjami gospodarczymi nie podporządkowanymi radzie. Chodzi tam o bardzo skomplikowane, wielopiętrowe problemy gospodarcze. Jak skojarzyć te wszystkie decyzje i uprawnienia, które posiadają Wielkie Organizacje Gospodarcze i inne jednostki centralne z tym, o czym rozstrzygają jednostki terenowe? Jakże szeroki jest zakres zarządzeń podejmowanych przez centrum oraz zarządzeń własnych. I pewnie dlatego w nowej strukturze rad narodowych obserwujemy ciekawe zjawisko poszukiwania takiego modelu, żeby rady narodowe miały możliwość koordynowania decyzji i zarządzeń różnego rodzaju szczebla. Tu istnieje możliwość znalezienia dobrych rozwiązań prawnych, najlepszych konstrukcji legislacyjnych.

„ODGŁOSY”: Jest to mimo wszystko bardzo skomplikowana dziedzina. Nie chodzi przecież tylko o uczytelnienie przepisów...
PROF. DR. NATALIA GAJL: O uczytelnienie przepisów dba komisja

szczegółowość niektórych przepisów. Zresztą i w Rumunii kodeks finansowy ma charakter ramowy i w gruncie rzeczy nie jest wystarczający. Nie oznacza to jednak, że pewnych zagadnień nie powinniśmy uporządkować czy scalić. Dałoby się na przykład uporządkować przepisy o kontroli i budżecie, to samo dotyczy podstawowych norm dotyczących przedsiębiorstwa.

„ODGŁOSY”: Czy można zapytać nad czym Pani Profesor obecnie pracuje, jakimi zagadnieniami zajmuje się pani w ostatnim czasie szczególnie?

PROF. DR. NATALIA GAJL: W tej chwili pracuję nad monografią dotyczącą instrumentów prawno-finansowych jako form sterowania gospodarką. Interesuje mnie w jaki sposób wpływają one zwłaszcza na gospodarkę nie uspołecznioną.

„ODGŁOSY”: Prowadzi Pani Profesor także podstawowy wykład z prawa finansowego na Uniwersytecie Łódzkim...
PROF. DR. NATALIA GAJL: Zmijmuję się także systemem finansowym przedsiębiorstw i polityką finansową. Na szczęście u nas w instytucie mamy wielu doświadczonych kolegów. Młodzi koledzy prowadzą analogiczne zajęcia proseminaryjne. Mamy

tego roku załudnienie zwiększyło się w ubiegłym roku o 56,6 proc. i wynosi — 787 tys. osób. Powolotku zbliżamy się do miliona.

Nudne jest już powtarzanie, że Łódź jest miastem włókienniczym. Wszyscy o tym wiedzą doskonale. Ale co na ten temat mówią liczby? Otóż liczby mówią, że jeśli stan zatrudnienia z 1955 roku przyjąć za 100, to 63,3 proc. stanowili w nim włókiennicze, nie licząc pracowników przemysłu odzieżowego i skórzanego, a więc innych członków przemysłu lekkiego. W 10 lat później struktura zatrudnienia w mieście przedstawiała się trochę inaczej. Włókiennicze stanowili już tylko 57,1 proc. pracujących, wzrósł natomiast udział pracowników przemysłu elektrycznego i maszynowego z 11,9 do 21,9 proc. I w tych liczbach zamknął się proces przeobrażeń strukturalnych w gospodarce. Ten proces trwa nadal. Oto w 1973 roku ludzie pracujący w przemyśle elektrotechnicznym i maszynowym stanowili 20,8 wszystkich pracujących w przemyśle uspołecznionym, a włókiennicze — 52 proc. Wzrósł też udział pracujących w przemyśle chemicznym z 4,1 proc. w 1955 do 6,4 — w 1973 roku.

Albo inny przykład, znakomicie ilustrujący dokonujące się w mieście procesy. W latach 1950 — 1973 ilość budynków w Łodzi zwiększyła się z 30,4 tys. do 34,3 tysiąca, a więc o niez-

byt wielką ilość. Wynosi to 12,7 proc. Natomiast ilość mieszkańców w tym czasie wzrosła z 172,2 tys. do 264,1 tys., a zatem o 53,4 proc. Natomiast ilość izb wzrosła z 313 tys. w 1950 roku do 646,4 tys. czyli o 106,5 proc. I w tych liczbach zamknięty jest cały wysiłek budownictwa. Kryje się tu również proces burzenia małych domków i budowania na ich miejscu wielokondygnacyjnych i wieloklatkowych budynków. Trudny i skomplikowany proces poprawiania warunków mieszkaniowych łodzian.

Książka jest warta lektury, ciąglego z niej korzystania i uczenia się statystyki. Kosztuje niewiele, bo tylko 15 zł, ale niewielki nakład spowoduje, że szybko rozejdzie się. Szkoda tylko, że autorzy opracowania nie pokusili się o pokazanie dysproporcji, jakie występują jeszcze w Łodzi w porównaniu z innymi wydziałowymi miastami. Wstydzić się nie mamy czego. Staramy się te dysproporcje wyrównywać. Wiele mamy do zrobienia, a pokazanie, jak często jeszcze odstajemy od innych mogłoby być też mobilizujące dla wielu w ich codziennej pracy.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

STATYSTYKA

30 LAT W LICZBACH

Statystykę trzeba polubić. Statystyką trzeba umieć posługiwać się, trzeba umieć czytać tablice, rozumieć liczby i wiedzieć, co za nimi się kryje. Szkoda, że pozytywne statystyki nie uczy w szkołach, a jeśli nawet — to w tak niedostatecznym stopniu. Ludzie liczb nie lubią, bo ich — najczęściej — nie rozumieją.

Ze statystyką jest często tak, jak rysunkiem technicznym. Dla laika — linie, kreski, kropki. W sumie — łamielówka, czarna magia. Dla technika: spojrz i wszystko staje się jasne. Podobnie ze statystyką. Dla kogoś, kto jej nie rozumie tabele wydają się tylko zestawieniami liczb. Dla człowieka rozumiejącego statystykę i umiejącego czytać tabele — samo ży-

cie. Spojrzy i wszystko rozumie. Popatrzy i zaraz rodzą się mu pytania, może skomentować, zaczyna rozumieć pewne prawidłowości, nieprawidłowości, tendencje i braki. Szkoda, że tak mało ludzi rozumie i lubi statystykę.

Miejski Urząd Statystyczny w Łodzi przygotowując do druku książeczkę pt. „Łódź 1945 — 1975” zdawał sobie widąc sprawę z tego, że mało ludzi lubi same tylko zestawienia liczbowe. Dlatego też opatrzył je bogatym komentarzem. Zespół redakcyjny wyraził we wstępie przekonanie, że publikacja spełni swoją rolę, jeżeli przynajmniej w niewielkim stopniu stanie się przyczynkiem do pogłębienia i popularyzacji wiedzy o

naszym mieście”. Skromny to cel, ale Zespół Redakcyjny (przewodniczący — Stanisław Kwiatkowski, członkowie: Zbigniew Godlewski, Maksymilian Jutta, Henryk Kowalczyk, Marian Krawczyk, Janina Mackiewicz, Kazimierz Wasilewski) zaadresował książkę „Łódź 1945—1975” nie tylko do tych, którzy rozumieją i potrafią posługiwać się statystyką, ale i do tych, którzy powinni się tego nauczyć, którzy statystykę powinni polubić. Z książki MUS mogą korzystać zarówno działacze gospodarczy, społeczni, ludzie o Łodzi pisujący, jak i nauczyciele szkół średnich, studenci. Jest to niewątpliwie praca pożyteczna i potrzebna.

I tu mała ciekawostka. Nie wiem wprawdzie, jak długo była ona przygotowywana do druku, wiem natomiast z metryczki, że drukowano ją w tempie — jak na nasze warunki — rekordowym. Nakład niewielki, 3 000 egzemplarzy. Objętość — 16,5 arkusza drukarskiego. Druk techniką ksero-offsetową. Oddano do druku: 23 stycznia 1975 roku. Druk ukończono: 31 stycznia 1975 roku. Zrobił to GUS (Zarząd Wydawnictw Statystycznych i Drukarni. Oddział Poligraficzny w Łodzi). Gratulacje!

A teraz kilka ciekawszych liczb, może przekonają one Czytelników do statystyki. W 1945 roku było w Łodzi 502,5 tys. mieszkańców. W stosunku do

HIPOTEZY

Nazwisko: Erich von Däniken mówi samo za siebie — „Wspomnienia z przyszłości”. Książka, przetłumaczona na język polski, jest praktycznie nie do zdobycia. Erich von Däniken napisał inną książkę na podobny temat — „Bogowie z kosmosu”. Chcemy zapoznać Czytelników z obszernymi jej fragmentami. Jak pisze autor przedmowy, Wilhelm Roggersdorf, Erich von Däniken nie jest uczonym, lecz samoukiem. Zainteresowanie, jakie towarzyszy jego książkom, wynika przynajmniej w części z tego, że miał on odwagę zakwestionować obiegowe teorie wyjaśniające pochodzenie rasy ludzkiej. Pytania, które w swej książce stawia Däniken, dotyczą spraw o zasadniczym znaczeniu dla każdego myślącego człowieka, spraw, które fascynowały od wieków rodzaj ludzki. Co więcej, autor daje na te pytania odpowiedzi, które, jeśli nawet kogoś nie przekonują, to na pewno nie pozwalają mu pozostać wobec nich obojętnym.

Kiedy w roku 1879 Tomasz Edison zastosował żeglowną nitkę bawelną jako włókno zwręgnięcia w żarówce elektrycznej, ceny akcji gazowych spadły w ciągu jednej nocy. W Anglii Parlament wyłonił specjalną komisję mającą za zadanie zbadać możliwość zastosowania nowej metody oświetlenia. Sir William Preece, Generalny Pocztmistrz a jednocześnie przewodniczący komisji oświadczył, w Izbie Gmin, że komisja doszła do wniosku, że pomysł oświetlenia mieszkań przy pomocy elektryczności jest dziwny i absurdalny.

Obecnie światło elektryczne pali się niemal w każdym domu na świecie.



Fot. Archiwum

Leonardo da Vinci, zafascynowany odwiecznym marzeniem ludzkości o lataniu w powietrzu, spędził wiele czasu pracując w tajemnicy nad konstruowaniem maszyn latających, które obecnie zdumiewają swym podobieństwem do pierwszych helikopterów. W obawie przed Inkwizycją uczonego nigdy nie publikował swoich rysunków. Kiedy je w roku 1797 opublikowano, wywołały one zgodną reakcję uczonych, którzy twierdzili, że maszyny cięższe od powietrza nigdy nie będą mogły oderwać się od ziemi. Jeszcze na początku obecnego stulecia, znany astronom Simon Newcomb uważał za rzecz nieprawdopodobną uzyskanie napędu o mocy wystarczającej na to, aby maszyny latające mogły odbywać loty długodystansowe.

A jednak, w kilka dziesiątek lat później, samoloty przenoszą olbrzymie ładunki nad morzami i lądami.

Recenzując książkę profesora Hermann Obertha „Rockets to Planetary Space” (Rakiety przestrzeni międzyplanetarnej), znane czasopismo „Nature” stwierdziło w roku 1924, że projekt rakiety kosmicznej będzie możliwy do zrealizowania prawdopodobnie dopiero na krótko przed wymarciem rasy ludzkiej. Jeszcze nawet w latach czterdziestych, po tym jak wystrzelono pierwsze rakiety na odległość setek mil, lekarze twierdzili, że jakkolwiek podróż kosmiczna z załogą ludzką jest niemożliwa, ponieważ metabolizm człowieka nie zniosłby długo stanu nieważkości.

Jednakże rasa ludzka nie wymarła a rakiety są faktem nie budzącym zdziwienia; wbrew wszystkim przewidywaniom, metabolizm człowieka potrafi wytrzymać stan nieważkości.

Chcę przez to powiedzieć, że w różnych okresach czasu techniczna możliwość realizacji wszystkich nowych idei mających istotny wpływ na życie ludzi nie była udowodniona. Udowodnienie możliwości realizacji tych idei było zawsze poprzedzone spekulacjami tzw. wizjonerów, którzy byli gwałtownie atakowani albo, co często trudniej przychodzi, strawieni, wysmiewani i lekceważeni przez swych współczesnych.

Przyznając zupełnie szczerze, że w tym sensie jestem także wizjonerem lecz nie izoluję się z moimi spekulacjami myślowymi w jakimś odosobnieniu. Moje przekonanie, iż istoty myślące z innych planet odwiedziły Ziemię w dalekiej przeszłości jest przedmiotem poważnych badań tak na Wschodzie jak i na Zachodzie.

Na przykład profesor Charles Hapgood powiedział mi podczas mego pobytu w Stanach Zjednoczonych, że Albert Einstein, którego znał osobiście, podzielał pogląd o wizycie istot pozaziemskich w czasach prehistorycznych. W Moskwie, profesor Józef Samuilowicz Szklowski, jeden z czołowych astrofizyków radioastronomów naszych czasów, zapewnił mnie, iż jest przekonany, że Ziemię odwiedzili

przysybie z kosmosu przynajmniej raz.

Znany specjalista z dziedziny biologii kosmicznej, Carl Sagan ze Stanów Zjednoczonych również nie wyklucza możliwości, że „Ziemię odwiedzi przedstawiciele cywilizacji pozaziemskiej przynajmniej jeden raz w czasie jej istnienia.”

Profesor Hermann Oberth, ojciec napędu raketowego, wypowiedział do mnie te słowa: „Uważam przybycie na naszą planetę rasy pozaziemskiej za rzecz w najwyższym stopniu prawdopodobną.”

Milo jest wiedzieć, że w wyniku pomysłowej realizacji programu lotów kosmicznych nauka zaczyna intensywnie zajmować się zagadnieniami, które jeszcze kilkadziesiąt lat temu stanowiły tabu. Jestem przekonany, że wraz z każdą rakietą wystrzeloną w kosmos tradycyjna opozycja wobec mojej teorii „bogów” będzie coraz bardziej słabła.

Jeszcze dziesięć lat temu było absurdem mówić o istnieniu innych rodzajów istot inteligentnych we wszechświecie. Obecnie nikt poważnie nie wyraża wątpliwości co do istnienia życia w kosmosie. Kiedy jedenastu wybitnych ekspertów zakończyło tajną konferencję w Green Bank w Zachodniej Wirginii (U.S.A.) w 1961 roku, okazało się, że przyjęli oni formułę, która pozwalała doliczyć się istnienia 50 milionów cywilizacji i to tylko w naszej galaktyce. Roger A. MacGowan, który piastuje odpowiedzialne stanowisko w NASA w Redstone (Alabama), opierając swoje obliczenia na najnowszych osiągnięciach astronomii podaje liczbę 130 miliardów możliwych kultur w kosmosie.

Te przybliżone oceny mogą wydać się stosunkowo skromnymi i ostrożnymi, jeśli okaże się prawdą to, że kluczem życia w całym wszechświecie jest powstawanie form żywych z czterech zasadniczych składników: adeniny, cytozyny, guaniny i tyminy. Jeśli zasada ta obowiązuje w całym wszechświecie, to musi on wprost kipieć życiem.

Przytoczeni faktami ludzie przyznają dziś niechętnie, że podróże kosmiczne w granicach naszego systemu słonecznego są możliwe ale jednocześnie jednym z nich recytują, że podróże międzygwiazdowe są, ich zdaniem, wykluczone z powodu olbrzymich odległości. I jak magik na scenie, tak ci sami ludzie wyciągają jakby z magicznego kapelusza stwierdzenie, że ponieważ podróże międzygwiazdowe nigdy w przyszłości nie będą możliwe do realizacji, to nasza Ziemia nie mogła być w przeszłości odwiedzana przez nieznaną przysybie, ponieważ musieliby oni pokonywać przestrzenie międzygwiazdowe. Oto cała argumentacja!

Ale dlaczego podróże międzygwiazdowe mają być niemożliwe? Przyjmując za podstawę szybkości osiągalne obecnie, da się obliczyć, że podróż do najbliższej gwiazdy — Alfa Centauri, która jest od nas oddalona o 4,3 lat świetlnych — zajęłaby 80 lat. Innymi słowy, żaden człowiek nie mógłby przeżyć lotu w obie strony. Czy jest to jednak poprawne wyliczenie? Przyznać trzeba, że przeciętna długość życia wynosi obecnie około 70 lat. Trening pilotów kosmicznych jest rzeczą skomplikowaną; nawet najbardziej inteligentny człowiek nie mógłby zostać astronautą przed ukończeniem dwudziestu lat życia. Trudno także oczekiwać, aby wysłano w podróż kosmiczną ludzi, którzy ukończyli 60 rok życia. Pozostaje 40 lat, w czasie których można być czynnym kosmonautą. Wydaje się logiczne stwierdzenie, że 40 lat to zbyt mało na ekspedycję międzygwiazdową.

Jest to jednak rozumowanie fałszywe. Nawet na prostym przykładzie zdołam wykazać, dlaczego tak jest a jednocześnie udowodnię, jak trudno jest nam uniknąć tradycyjnych sposobów myślenia, gdy mamy do czynienia z projektami przyszłościowymi. Przypuśćmy, że jestem w posiadaniu dokładnego wyliczenia, z którego wynika, że w ciągu swego życia pewna bakteria wodna nie jest w stanie przemieścić się z punktu A do punktu B, ponieważ może się ona jedynie poruszać z szybkością x a prąd wody łącznie z nachyleniem drogi wodnej nie mogą zwiększyć tej szybkości x bardziej niż o y procent. Rozumowanie wygląda przekonująco ale jednak zawiera błąd w wyliczeniach. Bakteria wodna może poruszać się z A do B na wiele różnych sposobów. Możemy ją, na przykład, zamrozić. Następnie, kostka lodu z mikroblem w środku może polecieć od A do B samolotem. Lód zostaje stopiony a bakteria dociera do celu. No tak, odpowie ktoś, ale trzeba

wyłączyć jej funkcje życiowe. Wydaje mi się jednak, że jest to całkowicie wykonalna, w gruncie rzeczy wysoce praktyczna metoda transportu mikroba; wydaje mi się też (właśnie dlatego dałem taką przykład), że czas zastąpić przestarzałe metody nowymi.

Wbrew wszystkim zastrzeżeniom, nie ma żadnej przesady w mych przewidywaniach, iż w niedalekiej przyszłości możliwe będzie zamrażanie astronautów oraz ponowne ich odmrażanie im ich funkcji życiowych. Profesor Alan Sterling Parkes, członek Narodowego Instytutu Badań Medycznych w Londynie podziela pogląd,

basadora naszej planety.” Roger A. MacGowan również przepowiada zbudowanie cyborga — w połowie maszyny, w połowie człowieka. Zdaniem tego znanego naukowca, cyborg w końcu osiągnie stan, w którym będzie istotą całkowicie elektroniczną, której czynności, programowane w wyizolowanym mózgu, będą zamieniane na rozkazy przez maszyny.

Jezuita z Frankfurtu, Paul Overhage, który cieszy się dużą sławą jako biolog, tak się wyraził o tym fantastycznym projekcie przyszłości: „W jego realizacji prawie nie można wątpić, ponieważ szybki rozwój techniki biologicznej ustawicznie ułatwia prze-

ceważyć tej obiekcji lecz jak długo jeszcze będzie ona miała znaczenie? Uczeń w Stanach Zjednoczonych i Związku Radzieckim już pracują nad skonstruowaniem elektromagnetycznych pierścieni bezpieczeństwa, których zadaniem będzie usuwanie niebezpiecznych cząstek materii kosmicznej z drogi statku. Te projekty badawcze dają już pewne pozytywne rezultaty. Sceptycy twierdzą również, że utopia jest przemysłowanie o szybkościach większych niż 300 tysięcy kilometrów na sekundę, ponieważ Einstein udowodnił, że szybkość rozchodzenia się fal świetlnych jest absolutną granicą prędkości w przyrodzie. Nawet taki argument jest przekonujący jedynie wtedy, gdy wychodzi się z założenia, że statki kosmiczne przyszłości będą się poruszały energią milionów galonów paliwa. Współczesne radary działają wyszukując fale poruszające się z szybkością światła. Jaki jednak związek mogą mieć fale — zapyta czytelnik — z napędem statków kosmicznych przyszłości?

W swej książce „The Planet of Impossible Possibilities” (Planeta niemożliwych możliwości), dwaj Francuzi, Louis Pauwels i Jacques Bergier opisują fantastyczny projekt radzieckiego uczonego K. P. Staniukowicza, członka Komisji Komunikacji Międzyplanetarnej Akademii Nauk ZSRR. Staniukowicz przedstawił projekt sondy kosmicznej napędzanej antymaterią. Skoro sonda będzie poruszać się tym szybciej im większą prędkość będą miały cząsteczki emitowanej materii, profesor Staniukowicz i jego współpracownicy wpadli na pomysł skonstruowania latającej lampy, która poruszałaby się dzięki emisji światła zamiast gorącego strumienia gazów. Szybkości jakie można w ten sposób osiągnąć są ogromne. Bergier opisuje to w ten sposób: „Pasażerowie takiej latającej lampy nie odczuwaliby niczego niezwykłego. Ciężenie na statku byłoby identyczne z ziemskim. Wydawałoby im się, że czas płynie normalnie, jednakże w kilka lat dotarliby do najodleglejszych gwiazd. Po 21 latach (ich czasu) byłiby w samym sercu Drogi Mlecznej, tzn. w odległości 75 000 lat świetlnych od Ziemi. Po 28 latach dotarliby do Mgławicy Andromedy, sąsiedniej naszej galaktyki odległej o 2 250 000 lat świetlnych.”

Wyjaśnienie tego problemu technicznego polega na zjawisku rozciągłości czasu — uznanym fakcie naukowym.

Musimy zdać sobie sprawę z tego, że „lata ziemskie” nie mają znaczenia dla pasażerów udających się w podróż międzygwiazdową. W statku poruszającym się z szybkością nieco poniżej szybkości światła czas wlecie się powoli w porównaniu z czasem galopującym na macierzystej planecie. Może to być dokładnie wyliczone przy pomocy wzorów matematycznych. Choć wyliczenia te mogą wydać się niewiarygodne, nie musimy przyjmować

ERICH von DÄNIKEN

BOGOWIE Z KOSMOSU

że na początku lat siedemdziesiątych medycyna udoskonaliła metodę przechowywania narządów do przeszczepów na tyle, że możliwe będzie ich przechowywanie przez nieograniczony okres czasu w niskich temperaturach.

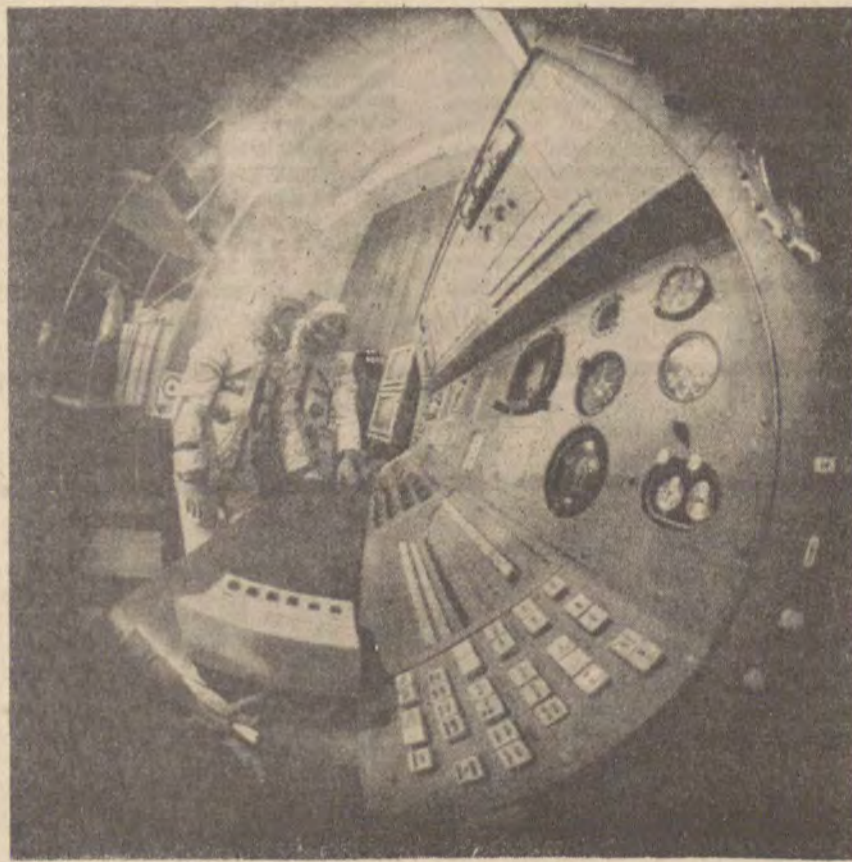
Tak czy owak, całość zawsze jest równa sumie części składowych i dlatego jestem przekonany, że moje przewidywania są słuszne.

We wszystkich eksperymentach na zwierzętach ciągle powracającym problemem jest kwestia utrzymania przy życiu komórek mózgowych, gdyż giną one szybko w braku tlenu. Fakt, że zespoły badawcze marynarki wojennej i lotnictwa USA, jak też firmy w rodzaju General Electric i Rand Corporation pracują pełną parą nad tym problemem dowodzi jak poważne przywiązuje się do niego znaczenie. Pierwsze pomysły wiadomości przysły z Western Reserve School of Medicine w Cleveland w stanie Ohio, gdzie wyjęto mózgi pięciu małp i utrzymywano je przy życiu przez 18 godzin. Odłączone od ciała mózgi reagowały w sposób zdecydowany na hałas.

Eksperymenty tego rodzaju są w zasadniczy sposób związane z pomysłem skonstruowania „cyborga” (skrót od „cybernetyczny organizm”). W jednym ze swych referatów, niemiecki fizyk i cybernetyk Herbert W. Franke przedstawił sensacyjny pomysł wysłania za kilka dziesiątków lat bezzałogowych statków kosmicznych do nieznanych planet w celu poszukiwania we wszechświecie istot inteligentnych. Patrole kosmiczne bez astronautów? Franke przyjmuje, że urządzenia elek-

troniczne byłyby obsługiwane przez mózg oddzielony od ciała człowieka.

Taki wyizolowany mózg, utrzymywany na płynnej pożywie, która musiałaby być ciągle uzupełniana nowym pożywieniem, byłby ośrodkiem kontrolnym statku kosmicznego. Franke uważa, że mózg nie narodzonego dziecka byłby najbardziej odpowiedni do zaprogramowania, ponieważ, nie będąc obciążony procesami psychicznymi, mógłby mieć wprowadzone dane i informacje potrzebne dla specyficznych zadań podróży kosmicznej. Taki zaprogramowany mózg nie posiadałby świadomości, która czyni zwykłe mózgi „ludzkiemi”. Herbert W. Franke mówi: „Będzie, tak jak my je odbieramy, byłby obecny dla cyborga. Nie posiadałby on uczuć. Wyizolowany mózg ludzki otrzymałby godność am-



Fot. Archiwum

ich na wiarę, gdyż zostały eksperymentalnie udowodnione. Musimy uwolnić się od naszego, tj. ziemskiego pojęcia czasu. Czasem można kierować przy pomocy szybkości i energii. Nasze wunki podróżujące w kosmosie obalają barierę czasową. Ci, którzy wątpią w techniczną możliwość podróży międzygwiazdowych przytaczają argument zasługujący na uwagę. Twierdzą oni, że gdyby nawet udało się zbudować rakiety, których napęd pozwalałby na rozwijanie szybkości ponad 150 tysięcy kilometrów na sekundę, to i tak podróże międzygwiazdowe byłyby niemożliwe, ponieważ przy takich szybkościach, najdrobniejsze cząstki materii zderzające się z powierzchnią statku miałyby moc niszczącą i przebijającą równą mocy bomby. Bez wątpienia, nie można lek-

ceważyć tej obiekcji lecz jak długo jeszcze będzie ona miała znaczenie? Uczeń w Stanach Zjednoczonych i Związku Radzieckim już pracują nad skonstruowaniem elektromagnetycznych pierścieni bezpieczeństwa, których zadaniem będzie usuwanie niebezpiecznych cząstek materii kosmicznej z drogi statku. Te projekty badawcze dają już pewne pozytywne rezultaty. Sceptycy twierdzą również, że utopia jest przemysłowanie o szybkościach większych niż 300 tysięcy kilometrów na sekundę, ponieważ Einstein udowodnił, że szybkość rozchodzenia się fal świetlnych jest absolutną granicą prędkości w przyrodzie. Nawet taki argument jest przekonujący jedynie wtedy, gdy wychodzi się z założenia, że statki kosmiczne przyszłości będą się poruszały energią milionów galonów paliwa. Współczesne radary działają wyszukując fale poruszające się z szybkością światła. Jaki jednak związek mogą mieć fale — zapyta czytelnik — z napędem statków kosmicznych przyszłości?

Wyjaśnienie tego problemu technicznego polega na zjawisku rozciągłości czasu — uznanym fakcie naukowym. Musimy zdać sobie sprawę z tego, że „lata ziemskie” nie mają znaczenia dla pasażerów udających się w podróż międzygwiazdową. W statku poruszającym się z szybkością nieco poniżej szybkości światła czas wlecie się powoli w porównaniu z czasem galopującym na macierzystej planecie. Może to być dokładnie wyliczone przy pomocy wzorów matematycznych. Choć wyliczenia te mogą wydać się niewiarygodne, nie musimy przyjmować

Nawet największym wysiłkiem wyobraźni nie jestem w stanie ogarnąć konsekwencji wydarzeń, które czekają na nas w mrokach przyszłości. W roku 1967, Gerald Feinberg, profesor fizyki teoretycznej Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku opublikował w czasopiśmie naukowym „Physical Review” swoją teorię tachyonów („tachyon” pochodzi od greckiego „tachys” — szybki). Artykuł nie był majaczeniem wizjonera lecz dotyczył poważnych badań naukowych.

Oto krótki opis teorii tachyonów. Według teorii względności Einsteina, masa ciała wzrasta proporcjonalnie do wzrostu jego prędkości. Masa (= energia), która osiągnęłaby szybkość światła byłaby nieskończenie wielka. Feinberg udowodnił matematycznie, że istnieje odpowiednik masy einsteinowskiej, mianowicie cząsteczki poruszające się niewymownie szybko, które zwalniają swój bieg przybliżając się do szybkości światła. Według Feinberga, tachyony są miliardy razy szybsze niż światło a jeśli ich szybkość zredukowana zostanie do szybkości światła, przestają istnieć.

Teoria względności była przez wiele lat udowodniona jedynie matematycznie; podobnie, nie można jeszcze eksperymentalnie udowodnić istnienia tachyonów. Feinberg pracuje jednak nad rozwiązaniem tej trudności.

Co czeka nas w przyszłości? Jeśli się uda chwycić tachyony lub je produkować, to można je będzie również użyć do napędu sond kosmicznych. Wtedy, wydaje mi się, silniki fotonowe rozpadłyby statek do szybkości światła, po czym następowaloby przejście na napęd tachyonowy. Jak szybko poruszałby się wtedy pojazd kosmiczny? Sto, tysięcy razy szybciej niż światło? Nikt obecnie nie potrafi dać na to odpowiedzi. Uczeń podejrzewa, że po przekroczeniu szybkości światła statek opuściłby tzw. przestrzeń einsteinowską i wpadłby w dotychczas nie określona, jak gdyby nałożona przestrzeń innego rodzaju. W tym istotnym momencie w historii lotów kosmicznych czynnik czasu stałby się prawie bez znaczenia.

Od lat szkolnych wbiłono nam do głowy, że człowiek jest panem stworzenia. Siadł myśli, że już tysiące lat temu były istoty stojące wyżej w swym rozwoju od pana stworzenia jest myślą rewolucyjną i nieprzyjemną. Jednakże bez względu na to jak nieprzyjemna ona może być, lepij będzie, jeśli się do niej przyzwyczaimy.

c.d.n.

Opracował:
B. KRAKOWIAN

Dalszy ciąg ze str. 1

23 lipca 1950 roku znalazła się w gronie osób wyróżnionych zaproszeniem prezydenta RP na przyjęcie wy-dane z okazji Święta Odrodzenia Pol-ski. W książce Pujmanowej „Ludzie na rozstajach” zachowała się pamiąt-kowa dedykacja Bolesława Bieruta dla dyr. Marii Gołębiakowej...

PO 25 LATACH

Przeszło ćwierć wieku minęło od tamtego czasu. Wiele się zmieniło w kraju i w życiu jednej z autentycz-nych bohaterki okresu kształtowania władzy ludowej.

— Ale ja się nie zmieniłam choć przybyło mi trochę lat i zarówno nie zawsze dopisuje — podkreśla gospo-dyń skromnie urzędzonego mieszka-nia w jednym z pierwszych bloków wybudowanych w naszym mieście po wojnie przy ul. Współzawodniczej 4. Mieszka tu sama. Mąż zmarł sześć lat temu. Obaj synowie są w Warsza-wie. Starszy, Zygmunt ma dwie córki, Wiesław — dwóch synów. Czasem przyjeżdżają w odwiedziny. Nie narzeka na samotność. Dnie wypełnia jej praca społeczna. Jest kuratorem Są-du dla Nieletnich, działa w terenowej organizacji partyjnej, przewodniczy kołu Ligi Kobiet. Czuje się wciąż potrzebna innym. Ta świadomość poz-wala łatwiej znosić najtrudniejsze przeciwności, których nie brakowało również wtedy, gdy była wśród naj-popularniejszych postaci w naszym kraju dzwigającym się ze zniszczeń wojennych...

WSPOMNIENIA

W drewnianym na Widzewie przy ul. Gołępiej nigdy się nie przelewała. Ojciec zmarł w czasie I wojny świato-wej. Matka była tkaczką. Musiała utrzymać siebie i czworo dzieci. Naj-starszy brat poszedł do pracy w tar-taku jak miał 12 lat. W 1922 roku Marysia Kmiecik dostała pracę u Gro-hmana. Do pełnych 16 lat brakowało jej jeszcze kilku miesięcy, ale kto zważał na takie szczegóły skoro bieda dokucała. Najważniejsze, że po-trafiła już obsługiwać maszynę. Nauczy-ła się nosząc matce śniadania lub pod-wieczorek, w zależności od zmiany. Miała wtedy godzinę czasu, by poz-nawać tajniki warsztatu. Najtrudniej-

więc zwalniali takich, zwłaszcza z o-pinią wywrotowców. Maria Gołębia-kowa była już członkiem i działaczem Klasowych Związków Zawodowych.

W 1936 roku współorganizowała strajk okupacyjny w fabryce Millera. Trwał przez pierwsze trzy tygodnie grudnia. Był odpowiedzią na redukcje. Zakończył się zwycięstwem. Wymó-

tam kilka razy. Najbardziej lubiła tę właśnie tkalnię. Jakoś lepiej tu się czu-ła niż gdzie indziej. Ją więc wybrała na swoje pierwsze miejsce pracy w nowej Polsce.

Początki nie były łatwe. Znów trzeba było wyrzeczeń. Pomagała jed-nak świadomości, że nie grozi reduk-cja i pracuje się dla Polski demokra-

ra Państwowych Zakładów Przemysłu Bawełnianego i Wełnianego Nr 22 przy ul. Kątnej...

Mąż nie chciał uwierzyć. Tyżesz zgłupiała — powiedział w pierwszej chwili ale szybko pogodził się z myślą, że ma żonę, która jest dyrektorem. Później był nawet z te-go dumny.

Na tkalnię czuła się w swoim żywie-le. Znała pracę. Gorzej szło z prze-działnią. Rzecz najważniejsza — plany produkcyjne były realizowane w każ-dym miesiącu. Zdarzały się kłopoty z jakością. Dziś Maria Gołębiakowa się przyznaje, że nie raz w obliczu trudno-sci zamykała się w gabinecie i po prostu płakała. To pomagało.

Była już prawie rok dyrektorem, gdy zauważyła, że zakład nie wykorzystuje w pełni własnego transportu samo-chodowego do przewozu surowca, a jednocześnie wynajmuje, płacąc znacz-ne sumy, prywatne konie i platformy. Wydała polecenie zrezygnowania z prywatnego transportu. Następnego dnia zgłosiła się elegancka pani, wła-sciicielka owych koni i platform. Naj-pierw starała się w łagodny sposób nakłonić dyrektora do odwołania de-cyzji. Gdy to nie skutkowało zaatak-owała obcesowo:

— Niby jest pani dyrektorem a ma pani raptem dwie zwyciężne sukienki. Czy to nie wstyd? Niech pani cennie decyzyje a ja już się postaram by pani nie brakowało pieniędzy...

Popłakała się. Przykro jej było, że ludzie widzą skromny ubiór i na tej podstawie próbują ocenić charakter człowieka...

W 1950 roku Maria Gołębiakowa zo-stała wytypowana na Państwowy Kurs Administracji Przemysłowej dla Wy-suniętych Robotników. Ukończyła go z wynikiem dobrym. Otrzymała propo-zycję podjęcia pracy w Ministerstwie Przemysłu Lekkiego w Warsza-wie. Nie chciała jednak wyprawać się z Łodzi. Uważała, że jej miejsce jest w fabryce, wśród ludzi, z któ-rymi się rozumie i potrafi dogadać, a nie w urzędzie, za barierą pisemek i segregatorów starannie uszeregowan-nych.

WYBRAŁA ŁÓDŹ

Wraca więc do Łodzi. Zostaje dy-rektorem Łódzkiej Tkalni Przemysłu Bawełnianego przy ul. Jaracza. Tu piętrzą się kłopoty. Pod koniec mie-siaca kierownik tkalni, Łuczak, informu-je, że plan nie będzie wykonany.

Co? Plan nie wykonany?! To nie-możliwe!...

Nie może uwierzyć. Tak się zdener-wowała, że zapaliła papierosa. Pier-wszy raz w życiu. Podejmuje decyzję: zwraca się do załogi o przystąpienie do pracy w niedzielę, by nadrobić za-ległości. Załoga stawia się niemal w komplecie.

— A pani dyrektor? — słyszy jak ludzie szemrzą, spodziewając się, że będzie się przyglądała ich ciężkiej pra-cy z pozycji dyrektora, z założonymi rękoma.

Maria Gołębiakowa przyjmuje wyzwanie. Wyznaczają jej krynoliny półsre-rodki, dość ciężkie, przy „szerokim ganku” — to znaczy — przy głównym przejściu przez halę, by wszyscy wi-dzieli jak pracuje dyrektor Maria Gołębiakowa...

Wygrała próbę. Wykonała więcej towaru niż inni. Kilka razy przemie-rzali na tablicy. Jeszcze raz sprawdzi-ła się, zaagitowała własnym przykła-dem...

W 1957 roku Marię Gołębiakową za-skakuje choroba. Jest od niej silniej-sza. Nie może odzyskać pełni zdrowia. Musi przejść na rentę inwalidzką. Rwie się jednak do pracy. Bezcyn-ność nie jest w jej stylu. Przez 10 lat była sekretarzem Zarządu Wywodzi-ckiej Ligi Kobiet. Myśli teraz o no-wej pracy. Nie traci pogody ducha i optymizmu. Mówi, że jeszcze ma czas na spisywanie wszystkich wspomnień z lat, gdy nominacja kobiety na sta-nowisko dyrektora stawała się sensa-cją w naszym kraju...

KONRAD TUROWSKI GOŁĘBIAKOWA



wienia cofnięto. Z perspektywy lat jest to epizod może nie najważniejsz-y. Trwale jednak zapisał się w pa-mięci.

Przez trzy tygodnie nie opuszczali fabryki. Maszyny stały, były wy-gaszone. Na halach było tak samo zim-no jak na dworze. Ludzie spali na podłodze. Tylko matkom komitet strajkowy pozwalał wymykać się w nocy na kilka godzin do dzieci. Klas-owy Związek Zawodowy przywoził jedzenie, raz dziennie. 8 grudnia Maria Gołębiakowa obchodziła swoje imie-

tycznej, bez kapitalistów. W końcu lutego 1945 roku wstępuje do Polskiej Partii Robotniczej. Starszy syn zgło-sił się do wojska do KBW, młodszy podjął naukę. Mąż po powrocie do do-mu poszedł do pracy w zakładach północnośląskich przy ul. Sienkiewicza. Choć wciąż nie brakowało kłopotów z wolną rysowały się perspektywy po-cucia stabilizacji, pewnej pracy i za-robków.

W połowie 1945 roku Marię Gołębiakową kierują do Wojewódzkiej Szkoły PPR. Partia potrzebowała kadr. Musiała je szkolić wybierając ludzi, którzy świadomie identyfiko-wali swoje postępowanie i cele z linią partii. Po latach niepewności i biedy jakiej nie szczędziła Polska kapitali-tyczna, Gołębiakowa nie miała wąpli-wości, że jej miejsce jest w szere-gach PPR.

Po ukończeniu Wojewódzkiej Szko-ly PPR zostaje sekretarzem komórki partyjnej na nowej tkalni przy ul. Ki-lińskiego. Zna tu wszystkich i ją zna-ją. Agituje własnym przykładem. Ludzie widzą i potrafią ocenić, że nie tylko umie ładnie prawić innym, jak powinni robić, by dobrze w Polsce by-ło, ale sama to pokazuje konkretną pracą. Zrazu małutka, kilkunastoos-obowa komórka partyjna w nowej tkalni szybko rozrasta się do przeszło 500 członków.

31 stycznia 1949 roku, w poniedziałek, wezwano Gołębiakową do wydzia-łu personalnego Centralnego Zarządu Przemysłu Bawełnianego. Przypusz-czała, że pewnie chcą ją wysłać w te-ren, na trzy miesiące, do pomocy przy realizacji zadań partyjnych. Tymcza-sem usłyszała, że zostaje... dyrektorem. I to od zaraz, od jutra.

Wówczas nie zostawiano czasu do namysłu ani dopytywano się o zda-nie zainteresowanego. Potrzeba chwili dyktowała wyzwanie. Nim Gołębiako-wa zdążyła powiedzieć, że przecież jest tylko tkaczką, czuje się zróżnieta z no-wą tkalnią i bez niej życia nie widzi, miała w ręku nominację na dyrekto-

niny, jedne z najsmutniejszych...

Bywały takie lata, że tylko przez dwa dni w tygodniu miała pracę. Za trzy błędy na 60-70 metrach wypro-dukowanego materiału wyrzucano na bruk. Każdy pretekst był dobry. Mie-siącami korzystali z darmowych zup, przeważnie kapuśniaku, w garkuch-ni przy ul. Wysokiej. Dobrodziejstwem był litr mleka na jedno dziecko da-wany z „Kropki Mleka”...

Później przyszły lata okupacji. Ste-fan Gołębiak spędził je na robotach przymusowych. Maria musiała troszczyć się nie tylko o swoje dorasta-jące dzieci, ale również dwoje małych dzieci brata, którego wywieziono na roboty, a jego żonę do Oświęcimia. Pracowały z matką po 12 godzin. W nocy chodziły na wieś do rodziny w Bedoniu, po kartofle. Była tak prze-męczona, że raz przy naciąganiu nitki usnęła. Miała szczęście, że majstrowa Waitrowa tylko wtedy na nią pokrzy-czała...

POCZĄTEK NIE BYŁ LATWY

Z takim bagażem przeżyć i doświad-czeń witała wyzwolenie i odrodzenie Polski w styczniu 1945 roku. 2 lutego była już w pracy, w dawnej fabryce Scheiblera, w nowej tkalni przy ul. Kilińskiego. Przed wojną pracowała



Fot. Archiwum

sze było naciąganie nici i puszczenie krosna.

W rok później wyszła za mąż za Ste-fana Gołębiaka z tej samej ulicy, znali się od dziecka. Był trzy lata starszy. Pracował w fabryce Scheiblera na Księżym Młynie. W 1924 roku oboje poznali gorzyc utraty pracy. Zostali zredukowani. Na domiar złego musieli jeszcze myśleć o dziecku, które przy-szło na świat. Zima była mroźna. Po drzewo do opalania za Mieszkałkami. Taka wy-prawa zajmowała cały dzień. W 1925 roku urodził się drugi syn. Stefan Gołębiak był wtedy w wojsku, w Rem-bertowie. Maria musiała sama sobie radzić. Na szczęście znów dostała pra-cę. Na zmianę z matką zajmowały się domem i wychowaniem dzieci. Jak jedna pracowała po południu to druga w tym czasie pilnowała dzieci i szy-kowała obiady na następny dzień. Był to główny posiłek. Stanowiła go zupa, najczęściej grochówka lub zalewajka z dużą ilością kartofli. Całe gary się gotowało. W czwartki, w dni wypłat, kartofle kraszono słoniną lub masłem. Zdarzał się też salceson z chlebem...

Po powrocie męża z wojska trochę się poprawiło. Przyjęli go do pracy. Nie na długo jednak. Aż do wybuchu wojny nie zdarzyło się obojgu prze-pracować całego roku w jednej fabry-ce. To bowiem dawałoby uprawnienia do tygodniowego urlopu. Właściciele



Fot. Archiwum

LITERATURA i TECHNIKA

Karol Sienkiewicz, pisarz i historyk z czasów Wielkiej Emigracji, któremu za-dzięczamy polską wersję „Warszawianki” Kazimierza Delavigne — bo wszak Fran-cuz jest autorem tej polskiej pieśni pa-triotek — powiedział w 1844 r., że li-teratura stała się u nas jedyną formą ak-tywności patriotycznej i chociaż w sta-niu tym jest nieco przesady, trudno prze-cież nie dojrzeć, że w XIX w. w braku własnego państwa mistrzami stali się nam poeci, że literatura — zwłaszcza zaś twór-cześć naszych wielkich Romantyków, chociaż nie tylko ona — była dla nas surro-gatem polityki, lekarstwem na wszelkie trapiące choroby, drogowskazem ukazującym przy-szość, słowem pełniła funkcje nie znane u innych narodów, rozwijających się w in-nych, bardziej normalnych warunkach hi-storycznych Poeta stawał się politykiem, choćby miał o polityce do powiedzenia akurat tyle, co bywały kawiarniani, nie-rzad bywał przywódcą, choćby miał pro-wadzić do nikąd, stawał na piedestale na-rodowej chwali, tam gdzie inni umiesz-czali wielkich meźów stanu, reformato-rów czy podbójców Spójrzmy, którym z wielkich Polaków ubiegłego stulecia wy-stawiliśmy pomniki? Czy jest wśród nich wielu ludzi, którzy nie byli pisarzami?

Nienormalne warunki narodowej czy-stości wytworzyły w naszej kulturze spe-cyficzne oraz — powiedzmy — owaro-ty — nienormalne zjawisko, wyrażające się w nieznanym gdzie indziej przywiązywaniu nadmiernej wagi do twórczości literackiej, z zaniedbaniem wszystkich innych rod-zajów twórczości. Przez długie lata naj-wybitniejsi muzycy czy malarze niknął w cie-niu pisarza, nie koniecznie pierwszej mi-ary, nieraz drugorzędnej, ale otoczonego uwielbieniem, czczonego w aureoli na-rodowego wieszcza.

Największe hołdy zbierała Deotyma, a nie współczesny jej Norwid. Synonimem twórcy kultury jest u nas pisarz, a nie jak u innych, byliby literat, czasem dopuści się jeszcze kompozytora, malarza, ale na tym już niemal koniec. Mówię świadomie nie „był”, ale „jest”, bo anachroniczne, dzie-łnastawowe poglądy długo w strachu swej aktualności, a w każdym razie tracą ją niezmiernie powoli, o ile w ogóle coś takiego następuje. Spójrzmy na ucze-sników różnych „sejmików” i wszelkich zjazdów starszych i młodszych „twórców kultury” — jak się ich często — a przekonamy się, jak niewiele się zmie-niło.

Heż łatwiej u nas żyć historykowi lite-ratury, niż badaczowi dziejów nauki, a nie daj Boże historii techniki! Nie ma w nas wydawców, które nie drukują monogra-fii, esejów czy biografii poświęconych przetożnym postaciom stawianym na ni-wie literackiej, choćby sława ta była mniej niż mikroregionalna. Odslaniszy mnóstwo zapomnianych postaci, byłoby tylko kie-dyś smarowały piórem po papierze, za-pomnianych niekiedy niestety, ale zbyt często najzupełniej zasadnie, bowiem mi-mo wszystko pisanie nie jest równoznac-zne z wybitną twórczością. Ale o wy-na-lazcach, choćby światowej sławy, i to Po-lakach, wiemy bardzo mało, a historyk techniki, skoro zbada dzieje kogoś z wy-bitnych polskich wynalazców, spotyka się co najmniej z nieufnością, kiedy przynosi wydawcy monografię o swym bohaterze. Przecież wydawcami są u nas najczęściej ludzie, którzy mają w małym palcu hi-storię polskiej poezji i prozy, ale często nie dysponują najbardziej nawet elemen-tarnym zasobem wiedzy z historii nauki i techniki. Ale i na to jest sposób, i do niego ucieka się co najmniej kilku zna-nym mi uczonym, zajmującym się tego rodzaju problematyką. Wystarczy rzecz wyłansować w... telewizji, a potem i wy-dawca się znajdzie. Albo na łamach pra-cy...

O polskim twórcy urządzeń kinemato-graficznych i telewizyjnych o światowym niedgdy rozgłosie, Kazimierz Prószyński plano u nas stokrót mniej, niż o pisarzu tego samego nazwiska, mnie też niż o ojcu wynalazcy, sławnym „Pro-myku” — Konradzie Prószyńskim znanym działaczowi oświatowemu i twórcy rewelacy-nego w swoich czasach elementarza. Jak dalece w swoich wynalazcach myśli się z in-ny-mi, lepiej znanymi Prószyńskimi, świad-czą choćby prasowe recenzje z książki Władysława Jewślewickiego „Kazimierz Prószyński”, ogłoszonej przez Interpress (1974). Widzę w tym skutecznego nad-iemierne humanistyczno-literackiego ukie-runkowania zainteresowań naszych ludzi pióra, nawet tych, którzy zabierają się do recenzowania publikacji z historii tech-niki.

W Jewślewicki nie pierwszy raz „od-kręca” (właściwie cudziwów tu jest szbed-ną ważną i ciekawą postacią polskiego wy-nalazcy — przypominajmy, że on to wła-snie „wynalazł” Jana Szczepanika, o któ-rym przed nim było zupełnie głucho. K. Prószyński — wynalazca urządzeń ki-nematograficznych, począwszy od pierw-szego z nich „pleografu”, twórcza ręcznej kamery filmowej „aeroskop”, urządzeń do zapisu i odtwarzania dźwięku i innych, wynalazca, który skutecznie rywalizował z zachodnimi twórcami. Autor pierwszych polskich filmów z pewnością zasługuje na przypomnienie i naukowe opracowanie. Poeta Anatol Stern, który interesował się pomysłami i wynalazkami K. Prószyńskie-go, pisał:

„Miałem zawsze głębokie przeświadcze-nie, że gdyby Prószyński urodził się pod szczęśliwą gwiazdą, to jego „pleograf” za-stąpiłby nazwę „kinematografu” i mówi-libyśmy dziś wraz z milionami ludzi o świa-towej „pleografii”, a nie „kinematografii”. Najdoskonalsza nawet popularna książ-ka nie rozwiązuje sprawy: należałoby o-pracować i ogłosić obszernie naukowe dzieło o całokształcie dorobku polskiego wynalazcy.

Książki w rodzaju tej, jaką W. Jewślewic-ki poświęcił Kazimierzowi Prószyńskiemu, zbyt rzadko goszczą w naszych do-mach. Zbyt mało pisze się u nas o wiel-kich twórcach nauki i techniki, w szcze-gólności zaś tych, którzy byli Polakami. Encyklopedie i podręczniki informują o licznym obojętym wynalazcach: znaleźli się oni tam dlatego, że ktoś kiedyś zajął się ich dorobkiem, opracował odpowiednie monografie, przypomniał zapomniane posta-ci. Któż jak nie my sami winniśmy przy-pominać naszych zapomnianych twórców, którzy niedgdy zyskiwali rozgłos w świe-cie?

LEKTOR

OBYCZAJE

HELENA PASZKOWSKA opowiada z nauczycielską swadą. Zrozumiale to: znaczną część swojego życia poświęciła pracy w szkole. Przez ostatnie lata, przed odejściem na emeryturę, kierowała Szkołą Podstawową nr 113 przy ulicy Sanockiej. A i teraz nie zrezygnowała z pracy wychowawczej. Prowadzi świetlicę Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, z którą to organizacją jest blisko związana, pełniąc od chwili jej powołania funkcję sekretarza Zarządu Dzielnicowego TPD na Górnej.

Praca wychowawcza nie kończy się jednak na dzieciach. H. Paszkowska wzięła się bowiem ostatnio — i to ostro! — do wychowywania... dorosłych, obejmując funkcję przewodniczącej **Spolecznej Komisji Pojednawczej**. Komisja działa na Dąbrowie.

Przez długie lata przewodnicząca mieszkała w starych — przedwojennych jeszcze i niejako elitarnych — blokach przy Bednarskiej. Dziesięć lat temu przeprowadziła się na Dąbrowę. Całkiem inne środowisko, rozpadające się na trzy zasadnicze grupy mieszkańców, nazwane w miejscowym żargonie „Jezioranami”, „Bonanza” i „Całą Resztą”.

Czy komisja wywiera jakiś znaczący wpływ na życie dąbrowian?

Nie ulega wątpliwości, że dla wielu mieszkańców Dąbrowy budynek Szkoły Podstawowej nr 163 przy ulicy Deotymy kojarzy się nie tyle z edukacją tutejszych dzieci, co z edukacją ich własną, znacznie mniej chwalebna. Kierownictwo tej bowiem szkoły wypożycza regularnie komisji jedną z sal lekcyjnych. Izba wprawdzie niewielka, ale i audytorium na posiedzeniach niezbyt liczne. Ot, zainteresowane strony, świadkowie, rodziny, a czasem i paru kibicujących sąsiadów lub znajomych.

„OSKARŻYCIEL” WINOJA

Sprawa trafiła do komisji za pośrednictwem Prokuratury Powiatowej, do której wpłynęło doniesienie jednego z dąbrowian, oskarżającego własną żonę o systematyczne okradanie go z renty inwalidzkiej. Wprawdzie ów nieszczęsny mąż — z niezrozumiałych powodów — rycło się opamiętał i wycofał doniesienie, sprawa jednak nie została przez komisję anulowana. H. Paszkowska i jej współpracownicy uznali, że interwencja komisji jest konieczna. Autor doniesienia zdawał się bowiem wymagać pomocy. Człowiek niezbyt jeszcze stary, ale wyniszczony i schorowany. Do tego niedawno poddał się poważnemu zabiegowi operacyjnemu, którego przyczyną był nowotwór złośliwy górnych dróg oddechowych. Efektem operacji stało się między innymi całkowite niemal pozbawienie głosu pacjenta, który porozumiewać się mógł tylko szepcąc i to niewyraźnie.

W trosce o dobro inwalidy komisja przeprowadziła wizję lokalną w jego domu. Okoliczności, jakie tam wyszły na jaw, w zasadniczy sposób zmieniły przebieg posiedzenia.

Okazało się bowiem, że stroną poszkodowaną nie jest bynajmniej sam autor doniesienia. Człowiek ten, nałogowy alkoholik i awanturnik, zadreślał od długiego czasu najbliższą rodzinę. Nie dość, że przepił skromną rentę swej matki — staruszki, to na domiar złego potrafił ją dotkliwie pobić i wyrzucić z domu. Nie poprzestał na tym: zmusił ostatnio do ucieczki również swą żonę i trzynastoletnią córkę, które musiały szukać pomocy u starszego syna i brata, w jego własnym mieszkaniu.

Wobec przytłaczającej argumentacji faktów rzekomy poszkodowany za-

niechał dalszych prób szkalowania własnej rodziny, a i w końcu przystał na pojednanie. Zdrowo się jednak musiała jeszcze napracować komisja, aby owo pojednanie stało się faktem — przynajmniej formalnie — dokonany. Do ponownego i ostatecznego wprowadzenia żony „powoda”, jego matki i córki do ich wspólnego



JACEK INDELAŁ

Gałązka oliwna i LISTEK FIGOWY

mieszkania przyczynić się wprawdzie musiał sam dzielnicy, lecz wrzeszcząc zamieszkał razem i w rodzinie zapanał spokój. Może to i spokój bardzo względny, może tylko cisza przed burzą. Ale komisja czuwa, sprawuje kuratelę, stara się do burzy nie dopuścić. A jeśli, mimo to, burza wybuchnie? Wówczas H. Paszkowska i jej współtowarzysze wkroczą ponownie z gałązkami oliwnymi w dłoniach...

TYPOWE SPRAWY

Na pięćdziesiąt spraw, jakie rozpatrzyła komisja w zeszłym roku, dwadzieścia dotyczyło właśnie najróżniejszych waśni rodzinnych. Nieco szerszy zasięg miało pozostałych trzydzieści spraw, które wynikały z także typowych nieporozumień sąsiedzkich i innych form — jak się to w oficjalnej nomenklaturze nazywa — zakłócenia porządku publicznego. Sprawy z reguły na wskroś prozaiczne, a przy tym żenujące i wstydlive, które jednakże nie zawsze dają się ukryć pod figowym listkiem intymności i przyzwolności.

Sprawy wstydlive i żenujące: kłótnie i awantury, ordynarne pyskówki, oszczerstwa, potwarze i ploty. Kiedy jeszcze nie jest za późno, kiedy jeszcze jest szansa na pokój, kiedy jeszcze interwencja milicji i sądu nie jest nieodzowna — wtedy wkroczą komisja. Przynajmniej powinna wkroczyć...

Najczęściej nie z własnej inicjaty-

wy. Sygnały pobudzające do działania napływają z różnych stron. W przypadku owych pięćdziesięciu spraw na Dąbrowie: trzynastu skierowała do komisji prokuratura, jedenaście napłynęło od samych mieszkańców osiedla, po dziesięć wpłynęło z milicji i kolegium do spraw wykroczeń, sześć natomiast — zgłosiły komitety domowe.

„TRÓJKA” W DZIAŁANIU

Komisja kierowana przez H. Paszkowską rozpatrzyła pół setki spraw. Wszystkich zaś szesnaście komisji działających na Górnej przy każdym z tutejszych komitetów osiedlowych — rozpatrywało ich kilkaset. Sekundowały im w tym siedemdziesiąt dwa

rowym „Kochajmy się”. Niemniej całe to zwaśnione bractwo rozlało się, jako tako uspokojone, do własnych mieszkań i na jakiś czas znów był spokój.

CO DALEJ?

Od momentu powołania przed 13 laty w rejonie Przybyszewskiego i Zarzewskiej, pod przewodnictwem Władysława Hibnera pierwszej w Łodzi i jednej z pierwszych w kraju komisji, do dnia dzisiejszego społeczne komisje pojednawcze urosły do rangi — w pozytywnym tego słowa znaczeniu — instytucji. Wrosły w życie miasta, stały się jego mieszkańcom potrzebne, zdobyły sobie u nich coraz większą

rangę i autorytet. O tej randze i uznaniu, a zarazem o wciąż wzrastającej skuteczności działania, świadczą nawet zeszłoroczna statystyka, odnosząca się do pierwszego tak wielkiego — bo sięgającego dziesięćdziesiąt procent — odsetek spraw zakończonych pojednaniem.

Czy te jednak i wiele innych pozytywnych pozwalają nam uznać komisje za dzieło skończone, że wszedł miar doskonała? Niestety, nie. W hurra-petyzizm i bezkrytyczny zachwyt nie popadają nawet sami działacze komisji, nie mówiąc już o przedstawicielach Frontu Jedności Narodu.

Niejedną bowiem z komisji popadła — bądź też nigdy z niej wyjdzie nie potrafiła — w paraliurokracyjną inercję, sprowadzając swe działanie do nadzorowania prawidłowego przebiegu papierków i spraw, rugując tym samym jakiegokolwiek elementu własnej inicjatywy, zdając się całkowicie na przypadkowe sprawy, które spadają im z prokuratorskiego, kolegijskiego czy milicyjnego stołu. Słowem, rola jej sprowadziła się do powielania funkcji regularnego urzędu, którego praca nie różni się od innych stylów i metodami, tylko zasięgiem i rangą załatwianych spraw.

Trzy czwarte spraw podejmowanych przez łódzkie komisje trafiła do nich wprost z prokuratury czy milicji. Jeszcze do niedawna procent ten był znacznie mniejszy. Pod wpływem jednak różnych nacisków — dających do uzyskania dla komisji aktywniej-

szcze zespoły — zwane **trójkami** — powołane przy każdym z komitetów obwodowych, a więc działające już bezpośrednio w terenie...

Właśnie taka „trójka” stała się jednym z powodów, dla których zainteresowałem się bliżej działalnością społecznych komisji pojednawczych. Zobaczyłem taką „trójkę” w działaniu. Stało się to przypadkowo.

Rzecz dotyczyła skłóconych i podzielonych na różne grupki i frakcje mieszkańców peryferyjnej kamienicy, którzy doprowadzili do zbiorowej kłótni nad podwórkiem — ryzostkiem, jaki to przez kogoś wbrew komuś innemu został poprzedniej nocy zasypiany.

Przyznam szczerze, iż wówczas jeszcze nie należałem do — sporej zapewne — rzeszy powątpiewających w sens istnienia i skuteczność działania społecznych komisji pojednawczych. Z powątpiewaniem więc, aczkolwiek z wielką uwagą, obserwowałem z boku, nie zauważony przez nikogo, przebieg interwencji trzyosobowego ciała społecznego, które to ciało odważnie wkroczyło w sam środek zebranego spontanicznie na podwórku tłumy rozhisteryzowanych bab i ich rozjuszonych mężów. Trwało to długo. Temperatura powoli i mozolnie opadała. Mediatorzy z wielkim poświęceniem zdołali cały ten warcholski sejmik sprowadzić do skromniejszej roli względnie cichej i względnie rzeczowej wymiany zdań. Interwencja nie zakończyła się, rzecz jasna, wiatami i zbio-

szej pomocy ze strony prokuratur, kolegów i milicji — instytucje te faktycznie uaktywniły się, ale w sposób dość szczególny. Mianowicie, dla zadośćuczynienia „naciśkającym”, instytucje te, mając do czynienia ze sprawą błahą, kwalifikującą się do załatwienia przez komisję, nie odsyłają tak jak dawniej zainteresowanego pod właściwy adres, lecz przyjmują jego skargę czy doniesienie, nadają sprawie formalny bieg i dopiero wówczas kierują do odpowiedniej komisji.

Wielu moich rozmówców podkreślało z naciskiem, że do komisji nadal wybierani są niewłaściwi często ludzie. Nagminnie są pomyłki, na skutek których trafiają tam ludzie — kó-rym ani w głowie społeczna praca, al- bo też — co gorsza — którzy zasła- dają do różnych, bynajmniej nie społecz- nych celów. Zdarza się też niekiedy, że w skład komisji wchodzi ludzie, którzy — wbrew pozorom — nie cie- szą się wcale autorytetem w miejscu zamieszkania, a wręcz przeciwnie — ich postawy są surowo oceniane i kryty- kowane przez otoczenie. Niemniej trudna sytuacja występuje tam, gdzie — mimo najczystszych intencji i naj- lepszych chęci — poziom kulturalny, zasób wiadomości i społeczne kwalifi- kacje członka komisji nie predestynują go bynajmniej do sprawnego i skutecznego pełnienia tej funkcji.

Przypadkowi czy wręcz niewłaściwi ludzie występujący w roli mediatorów, ingerujących w sprawy trudne i często nader intymne, wymagające wiele taktu i dyplomacji — często bardziej mogą zaszkodzić sprawie niż jej pomóc. Tym bardziej że cała ta przecież działalność opiera się na jakże kruchej i wątej podstawie wzajemnego porozumienia i dobrej woli wszystkich stron.

Działacze komisji ingerują — w i- mieniu społeczeństwa — w sytuacje konfliktowe, trudne i złożone, które nie tak łatwo rozwiązać pojednaniem. A przecież w dziesięciu przypadkach na dziesięć udaje im się to. I tym też więcej dziwić się można, że na nie- których spośród tych właśnie działa- czych przez długi czas nie udawało się wymusić gestu pojednawczego w sto- sunku do innego ciała społecznego, działającego na tym samym terenie — w stosunku do samorządu miesz- kańców.

Otóż, parę łódzkich komisji pojed- nawczych popadło w ostry niekiedy konflikt ze świeżo powołanymi samor- ządami. Konflikt zrodził się na tle sporu o model i kompetencje, a zwi- azała o hierarchię ważności. Casus belli stanowił fakt, że komisje powołane zostały na mocy Ustawy Sejmu PRL, zaś samorządy „tylko” — Uchwałą Rady Państwa. Stąd też niektórzy działacze komisji nie chcieli uznać nie tylko możliwości samorządu, ale i nawet możliwości współpracy na zasadach partnerstwa. Konfliktowi — miejmy nadzieję — raz na zawsze położyła kres specjalna narada przewodniczących komisji i samorządowych komitetów zwołana przez ŁK FJN, na której au- torytatywnie rozstrzygnięto, że komi- sje są jednostkami strukturalnie pod- ległymi samorządom, które z kolei zobowiązane są do ścisłej współpr- acy i pomocy na rzecz tych pierwszych.

Generalnie biorąc, oba te ciała spo- łeczne nie dopracowały się jeszcze — a czas najwyższy — właściwych form współpracy. Współpraca, która jest konieczna na co dzień. Bez niej bowiem działanie tak jednych, jak i drugich nie będzie na tyle skuteczne, na ile tego wymaga jakże żywotny interes społeczny.

LEKTURY

NIEOKRĄGŁA ROCZNICA

Lubimy rocznicę „okrągłą”, stu — czy pięćdziesięcioletnią. Pewnie dlatego siedemdziesięcioletnie rewolucji 1905 r. przynosi znacznie mniej okolicznościowych publikacji niż niedługo, przed dwudziestoma laty jej pięćdziesięcioletnie. Wówczas mieliśmy istną powódź druków, mnóstwo najróżniejszych sesji — dziś mamy za to spokój, który pozwala zastanowić się, czy i o ile zmieniła się przez te dwadzieścia lat optyka historycznego oglądu tych ważnych wydarzeń, które miały tak doniosłe znaczenie w dwudziestowiecznej historii naszego narodu. Ludzie, którzy pamiętają te czasy — a jest ich już coraz mniej — skłonni są doszukiwać się w wydarzeniach 1905 r. przelomu, determinującego późniejszy bieg dziejowych wypadków i nie bez racji ukazu- ją, że rewolucja ta stanowi ważkie ogniwo w tradycji polskich walk wy- zwolniczych i niepodległościowych.

Przypomnijmy, jakże głębokie reflek- sje Heleny Radlińskiej-Orszy, uczonej i działaczki społecznej, czyni- nie zaangażowanej w tamtych latach. Pisała ona o znaczeniu rewolucji 1905 r. dla ludzi jej pokolenia: „Wyda-

mi się, że ludzie tej generacji nie umieją wprost myśleć o dziejach naj- nowszych, o zagadnieniach współcze- snych, o instytucjach, wielu nawet o losach osobistych bez wspomnienia roku 1905. Dlaczego? Niejedna nasu- wa się odpowiedź. Wstrząs, który na- stąpił po przegranej wojnie z Japo- nią, osłabiając rządy carskie, rozbu- dził daleko idące nadzieje, ośmielił społeczeństwo. Ludzie stawali się so- bą. Wyzwolono się z dokuczliwego, hamującego myśli kłamstwa. Ujaw- niano dążenia i zamierzenia. Z pod- ziemi wychodziły w słoneczne, choć groźne dni, instytucje i urządzenia hodowane od lat skrycie. Rozrastały się niepomierne szybko, co podsy- cało marzenia „wolniściwość”. Wśród nich — budowanie od dołu, siłami społecznymi wszelkich urządzeń, boj- kotowanie wrogiego państwa, tworze- nie własnym wysiłkiem zrebów no- wego ustroju...”

Czy takie i tym podobne perspek- tywiczne oceny 1905 r. znajdują pot- wierdzenie w pracach naszych histo- ryków, czy naukowe ustalenia wpro- wadzają korektę sądów, wnoszą nowe treści do naszych wyobrażeń o tam-

tych wydarzeniach? Niewątpliwie tak: treści tych jest nawet bardzo wiele, zważywszy mnóstwo konstat- cji szczegółowych o biegu wypadków. Ale czy nagromadzenie szczegółów nie przesłania czasem spraw ogólniejszych i najważniejszych? Nie ukrywam, że czasem można odnieść i takie wra- żenie. Bardzo często, nadmierne czę- sto w historycznych publikacjach po- święconych wydarzeniom 1905 r. szcze- gółowy opis wydarzeń ulicznych zda- je się zastępować analizę przemian. Istnieje bowiem jakaś nie zadowala- jąca recepta na publikacje o wyda- rzeniach rewolucyjnych: serie straj- ków i manifestacji, policyjnych szarż, interwencji wojskowych... i to wła- ściwie wszystko. W ten sposób nigdy nie dojdziemy do pełnego zrozumie- nia tego, co się wówczas działo, cho- ciaż będziemy wiedzieli dokładniej niż współcześni, co wydarzyło się na ulicy Długiej w piątek wieczorem. To ostatnie historycy musi wiedzieć, ale winien także pamiętać, że tego ro- dzaju ustalenia nie są dlań jedynym, ostatecznym celem badawczym.

Refleksje te powstały na margi-

nesie lektury dwóch książek. Pierws- za jest publikacja Wydawnictwa Łódzkiego pod tytułem „Dwa powsta- nia”, której autorami są Ludwik Mroczka i Władysław Borowski. Druga to książka Haliny Kiepuskiej „Warszawa w rewolucji 1905—1907”, ogłoszona przez Wiedzę Powszechną. Oba dziełka są pozycjami świeżymi, wydanymi w 1974 r. Łódzcy autorzy mieli szczęśliwy pomysł połączenia w jednym tomie dwóch szkiców, po- święconych dwóm współzależnym wy- darzeniom dziejowym: wypadkom czerwowym w Łodzi i grudniowym w Moskwie. Pozwoliło to na ukaza- nie związków między walką proletar- iatu łódzkiego, a walkami klasy ro- botniczej w Rosji, na udokumento- wanie tezy o tym, że zaszczyt pod- jęcia pierwszej masowej walki na barykadach w imperium carskim „przypadł w udziale polskiemu pro- letariatowi i miastu Łodzi” (F. Dzier- żynski). To na pewno wiele, ale czy zawarty w tej książce opis wydarzeń w Łodzi jest czymś więcej, jak ze- stawieniem epizodów, przelatujących na ogół znanymi już ocenami?

Chełoby się tu przesić o głębszą analizę zjawisk, pragnęłoby się obe- rzec całokształt łódzkiego społeczeń- stwa w tamtym czasie, zapoznać się z jego reakcjami, postawami i postę- pami, jak przebiegały zdarzenia, ale i nad tym, czym one były dla współ- czesnych, jakie miały znaczenie dla

ludzi tamtych czasów... Nie myślę deprecjonować znaczenia historycznego opisu wydarzeń, ale żywię głębokie przekonanie, że ograniczanie się hi- storyka tylko do opowiedzenia, jak to rzeczywiście było, jest dziś postawą anachroniczną, coraz węższą przelamywaną przez współczesną naukę historyczną. Przykładem pierw- szym z brzozy jest ujęcie, zapropono- wane przez H. Kiepuską, również w swych założeniach popularne, ale o ileż bardziej całościowe. Jeszcze lepszym — bo nowatorskim — są studia St. Kalinbińskiego o dynamice ruchów społecznych w 1905—1907 la- tach, prowadzone w ramach badań nad dziejami polskiej klasy robotni- czej. Takie prace istnieją, one to właśnie stanowią o jakościowym sku- tku naszych badań historycznych, z roku na rok widoczniejszym nawet dla czytelnika, nie będącego zawodo- wym historykiem.

I dlatego, że śledzę to, co pisze się u nas o 1905 r., podobnie jak śledzi- tem to dawniej, jestem orzekony, że mimo całego dotychczasowego, li- czącego się dorobku, który przyniósł nam mnóstwo ustaleń szczegółowych, temat „Rok 1905 w Łodzi”, czy „Łódź w roku 1905” czeka wciąż na swego autora. Mam nadzieję, że zbyt długo czekać nie będzie.

ANDRZEJ F. GRABSKI

DLA NAS I DLA DOMU

Z dyrektorem Spółdzielczego Domu Handlowego „CENTRAL” — mgr LECHEM SOSNOWSKIM rozmawia Bogda Madej

W sierpniu 1975 roku miną trzy lata od chwili otwarcia drugiego domu towarowego w Łodzi. Dwa i pół roku pracuje już SDH „CENTRAL”, a nam się wydaje, że istnieje i działa od dawna. Najpierw było wybrzydzenie, że „bunkier”, że w tym miejscu, a przecież „CENTRAL” wrosł w łódzki pejzaż i to zarówno ten architektoniczny, jak i ten społeczny. Trudno wyobrazić sobie kogokolwiek, kto wybierając się na zakupy do śródmieścia, nie odwiedziłby „CENTRALU”. Postanowiliśmy więc zaprezentować Czytelnikom „CENTRAL” od środka, pokazać mechanizmy nim poruszające, przedstawić koncepcję, według której pracuje i działa.

— Na zewnątrz — mówi Lech Sosnowski — muszą być atrakcyjne wystawy, takie, aby zainteresowały potencjalnego klienta. Każdego przechodnia trzeba traktować jako klienta, niech wejdzie do środka, popatrzy, jeśli nawet teraz nie kupi, to powinien do nas wrócić.

— A wewnątrz?
— Wewnątrz musi być odpowiednia aranżacja, to jest taka ekspozycja towarów, która zachęca klienta do kupna, ułatwia mu wybór, pozwala na bezpośredni kontakt z tym, czego klient szuka, albo co chce kupić.

— Jakże stosujecie formy sprzedaży?

— Przede wszystkim preselekcję. Drobny przykład. Kiedy pidżamy sprzedawaliśmy z półki, systemem tradycyjnym, to sprzedawaliśmy dziennie 100 pidżam, ale od momentu, kiedy zaczęliśmy je sprzedawać systemem preselekcji, dając klientowi pełną możliwość wyboru, zaczęliśmy sprzedawać dziennie od 200 do 250 pidżam.

— Stosujemy też system „wysypu”, dając możliwość klientowi przebiegania w towarze, szukania tego, co mu najbardziej odpowiada. Tak na przykład sprzedajemy damską bieliznę.

— Jest to perfidnie wykorzystywanie kobiecych upodobań, tworzenie złudzeń, że klient ma pełną samodzielność w decydowaniu podczas zakupów.

— Handlowiec powinien być po trosze psychologiem. Przecież, kiedy organizujemy pokazy mody, a często wychodzimy z nimi na ulicę, to też odwołujemy się do zainteresowań klienta, jego skłonności, chcemy wywrzeć przekonanie, że jak czegoś klient będzie potrzebował, to tu znajdzie, tu powinien przyjść przede wszystkim, tu powinien szukać. Toteż uczymy pracowników, szkoląc ich bezustannie.

— Jakże stosujecie metody szkolenia?

— Bardzo różne. Szkolimy między innymi u wytwórców, głównie w tych

ogólnemu poziomowi. Mam nadzieję, że część z nich poddała temu zadaniu. Inni będą musieli odejść.

— A czy jest Pan zadowolony z wielkości „CENTRALU”?

— Aby był w pełni zadowolony, „CENTRAL” musiałby być trzy razy tak wielki, jak jest obecnie.

— I dlatego nie możecie sprzedawać wszystkiego, co powinno znajdować się w domu towarowym?

— Z niektórych działów musimy zrezygnować, albo utrzymywać je w szczytkowych wymiarach.

— Czy wobec tego nie boicie się konkurencji wielkiego domu towarowego, który niedługo powstanie w sąsiedztwie, przy ulicy Głównej, po przeciwnej stronie ul. Piotrkowskiej?

— Nie, nie boimy się.

— Dlaczego?

— Bo od przyszłego roku rozpoczynamy budowę wielkiego domu handlowego w okolicy dworca Łódź — Fabryczna. A w Łodzi — jak wiadomo — domów towarowych jest ciągle mało. Mogę tu pani podać bardzo ciekawą — przynajmniej moim zdaniem — informację. Otóż my mierzymy wydajność domów towarowych wielkością sprzedaży na jeden metr kwadratowy powierzchni handlowej.

W ubiegłym roku „CENTRAL” miał sprzedaż z jednego metra kwadratowego w wysokości 16 100 zł w miesiącu, „UNIERSAL” — 10 900 zł, a warszawskie domy towarowe „CENTRUM” — 12 200 zł miesięcznie.

— A jaki będzie ten przyszły spółdzielczy dom handlowy, który ma powstać w okolicy dworca Łódź — Fabryczna?

— Będzie on dwa i pół raza większy od „CENTRALU”.

— Czy „CENTRAL” nadal jest największym spółdzielczym domem handlowym w Polsce?

— Już nie, bo w Katowicach oddano do użytku spółdzielczy dom handlowy trochę większy od „CENTRALU”, z tym tylko, że ma on obroty zaplanowane na nieco niższym poziomie. W

my na 5 — 6 tygodni przed dostawą towaru.

— Chodzi wam o aktualność.
— Tak. Muszę powiedzieć, że nowości w przemyśle państwowym ciągle jeszcze rodzą się zbyt długo.

— Czy posłada Pan własne rozpoznawanie rynku zagranicznego, tendencji panujących w modzie?

— A jak bez tego mogłyby funkcjonować jakikolwiek dom handlowy?

— Czy mógłby Pan udzielić rąbka tajemnicy?

— Nie ma tu nic nadzwyczajnego. Na przykład mamy stały kontakt z celnikami, od których dowiadujemy się co ludzie najchętniej przywożą z zagranicy.

60 tysięcy. Po prostu bardzo często ludzie przychodzą do „CENTRALU” parami: mąż z żoną, chłopak z dziewczyną, przyjaciółki, koleżdy, matka albo ojciec z synem czy córką. Stąd więcej osób, ale mniej transakcji. Nas to jednak nie martwi. Kto raz zajrzał do „CENTRALU” powinien tu wrócić już z konkretnym celem, a my powinniśmy dążyć do tego, aby potencjalny klient mógł swój cel zrealizować.

— Prowadzicie różne akcje, angażujecie klienta w swój system handlowania.

— Teraz chcielibyśmy — w Międzynarodowym Roku Kobiet — przepro-

cy w poniedziałek rano do „CENTRALU” nawet się tego nie domyślają.

— Czy to tylko dążenie do przecięcia powszednich błędów handlu?

— Nie tylko. Decyduje też prosty rachunek. Utrzymanie „CENTRALU”, czy jest czynny czy pusty, kosztuje nas 260 tys. złotych dziennie. Dzienny zysk wynosi około 100 tys. zł. Gdybyśmy zamknęli „CENTRAL” na jeden dzień w tygodniu, to kosztowałoby to nas około 360 tys. zł. Nie możemy sobie na taki luksus pozwolić. Dlatego szukamy innych sposobów i znajdujemy je.

— Okazuje się, że można. Ile osób pracuje u was w administracji?

— Mam nadzieję, że zdziwi panią. 28 osób razem ze sprzątaczką.

— Zdziwił Pan. A ile jest sprząta-czek w całym „CENTRALU”?

— Trzydzieści.

— Kasjerek?

— Dziewięćdziesiąt.

— Zaopatrzeniowców?

— Dwudziestu pięciu.

— Ile osób pracuje w stoiskach?

— Około 500.

— A ilu jest kierowników?

— Mniej niż pani myśli. Zdecydowało tu proste matematyczne rozumowanie. Gdyby w „CENTRALU” było dużo kierowników, to ich czas stracony na prace papierkowe, pisanie sprawozdań i raportów, urósłby w skali przedsiębiorstwa do ogromnych rozmiarów. Mniej czasu miałby na bezpośredni kontakt z klientami. Potworzyliśmy więc wielkie stoiska, liczące po 40 — 90 osób, pracujących na zmiany, i dzięki temu ograniczyli-

TAJEMNICE „BUNKRA”

— Prowadzicie również wymianę bezpośrednio z zagranicznymi domami handlowymi?

— Prowadzimy taką wymianę z domami handlowymi NRD i Węgier, a także producentami RFN, Austrii. Ostatnio nawiązaliśmy kontakty z handlowcami z Włoch i Holandii. Mamy bezpośrednie kontakty z zagranicznymi domami handlowymi i prowadzimy je przez „Textilimpex”.

— O ile się orientuje „CENTRAL” nie posiada odpowiednich magazynów.

— Kiedy „CENTRAL” był budowany panowało przekonanie, że magazyny są potrzebne hurtownikom, a zbudowanie magazynów, to kosztowne przedsięwzięcie. Skutek tego jest taki, że kupiliśmy za pośrednictwem „Textilimpexu” wykładzinę podłogową w RFN i teraz drzę na myśl o tym, że któregoś pięknego poranka nadjadą samochody z RFN i przywożą towar, a my nie będziemy mieli gdzie go złożyć.

— Ogranicza to wasze możliwości handlowe.

— O 10 proc. Gdybyśmy mieli właściwie zaprojektowane i wybudowane magazyny, to moglibyśmy o 10 proc. zwiększyć zaopatrzenie stoisk. Dotyczy to przede wszystkim stoisk, w których sprzedaje się towary o większych wymiarach, jak na przykład sprzęt zmechanizowany dla gospodarstwa domowego.

— Czy odpowiada wam wymiana z zagranicznymi handlowcami prowadzona w większości przez centrale handlu zagranicznego?

— Nie Wolelibyśmy prowadzić ją samodzielnie. Dałoby, to większe efekty.

— Czy nie boicie się konkurencji z towarami zagranicznymi?

— Przeciwnie. Sami dążymy do wytworzenia wewnętrznej konkurencji. Sprzedawaliśmy przez długi czas garnki. Dziennie około 100 sztuk. Sprawdziliśmy garnki z serii eksportowych, ładniejsze, i nagle okazało się, że te, które przedtem sprzedawaliśmy po około 100 sztuk dziennie, leżą sobie spokojnie, a ludzie kupują te atrakcyjniejsze. Nie boimy się takiej konkurencji, a nawet dążymy do niej. Podobnie było z bluzkami z „Olimpij”. Dopóki nie pojawiły się w stoisku patronackim szły jak woda prawie identyczne bluzki z Austrii. Ludzie szukają towarów atrakcyjnych, odpowiadających ich gustom i wymaganiom.

— Ile osób dziennie przewija się przez „CENTRAL”?

— Od 40 do 100 tysięcy, ale transakcji załatwiamy dziennie od 20 do

wadzić akcją „Klientki pomagają handlować”.

— Na czym by ta akcja polegała?

— Prowadzimy ją wspólnie z Łódzką Rozgłośnią Polskiego Radia. Chcemy, aby każda klientka, która nie znajdzie w „CENTRALU” tego, czego szuka, wypełniła ankietę. Na podstawie tych ankiet będziemy wspólnie z Łódzką Rozgłośnią interweniowali u producentów. Pomoże to nam bardziej



Fot. Archiwum

trafić w gust klientów. Wszystkie nasze akcje mają jeden wspólny cel: poznać zainteresowania, gusty i wymagania klientów.

— Jak wielki jest personel „CENTRALU”?

— Liczy on 760 osób.

— Jak wy to robicie, że nie ma w „CENTRALU” różnych zatorów naszego handlu: „przyjęcie towaru”, „inventaryzacji”?

— Kiedy zaproponowano mi objęcie „CENTRALU”, postanowiłem spróbować przeczyć powszechnemu błędowi handlu.

— Jak widać udało się, ale w jaki sposób?

— Inventaryzacji, na przykład, dokonujemy dwa razy w roku, ale tylko w niedzielę. Wtedy dzieje się tu „Sodoma i Gomora” ale klienci wchodzą-

śmy i liczbę kierowników i stworzyliśmy im możliwość większego kontaktu z klientami. Brzmi to trochę jak paradoks, ale taka jest prawda.

— Muszę przyznać, że zaletą „CENTRALU” jest to, iż nie widać tak wielkiego personelu. Osobiście raz mnie zawsze ogromna liczba ludzi pilnujących klienta w różnych „samach”, traktujących każdego wchodzącego z koszykiem, jak potencjalnego złodzieja. Jest w tym systemie „kontrol” coś ubliżającego.

— Powiedziałem już to wcześniej, handlowiec powinien też być psychologiem. Jeśli u nas klient nie odczuwa opieki sprzedawcy, to jest tylko dowodem uznania dla naszej pracy. Na całym świecie system preselekcji wiąże się z dyskretną kontrolą klientów. Ryzyko istnieje, przecież narażamy klienta na różne pokusy, winniśmy go przed tymi pokusami chronić, ale musi być to działanie dyskretne, klient nie może odczuć — pod żadnym pozorem, że jest kontrolowany.

— I ostatnie już pytanie: nowy spółdzielczy dom handlowy, zlokalizowany w okolicy dworca Łódź — Fabryczna, którego budowa ma się zacząć w przyszłym roku, po 51 miesiącach będzie gotowy do pracy. Czy nie kuszą Pana ochota przejęcia go pod swój zarządek?

— Nie, bo będzie to i tak pod wspólnym zarządem z „CENTRALEM”.

— Będzie więc Pan miał większe pole do popisu.

— Tak to wygląda.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ



Fot. Archiwum

zakładach, których wyroby sprzedajemy.

— Jaki cel temu przyswieca?

— Chodzi nam o to, aby sprzedawcy potrafili doradzić klientowi, aby miał świadomość procesu powstawania towaru, znał jego zalety i wady. Ogromną uwagę przykładamy do zachowania się pracowników, umiejętności rozmawiania z klientem, służenia mu radą na każdy temat związany ze sprzedawanymi towarami. Nie bez znaczenia jest również sposób reakcji sprzedającego, kiedy zetknięt się z nieuczciwym klientem, bo i tacy się zdarzają.

Nasze szkolenie prowadzą między innymi pracownicy Uniwersytetu Łódzkiego. A poza tym korzystamy z wymiany międzynarodowej.

— Na czym polega ta wymiana?

— Organizujemy na przykład wymienne wczasy dla pracowników domów towarowych. Staramy się tak zaprogramować pobyt grupy naszych pracowników, aby na Węgrzech czy w NRD zetknęli się również z kilkoma domami towarowymi, poznali metody ich pracy.

— Czy jest Pan zadowolony z obecnego stanu pracy i organizacji „CENTRALU”?

— Nie. Jeśli nawet z czegoś byłem zadowolony wczoraj, to już dziś zastanawiam się, co trzeba zmienić, ulepszyć.

— Czy jest Pan zadowolony z personelu, który pracuje w „CENTRALU”?

— W znacznej części tak, ale jakież 15 proc. naszych pracowników musi włożyć wiele pracy, aby dorównać

tych roku żaden dom towarowy „Spolem” nie przekroczy naszego poziomu obrotów.

— Czy wynika to tylko z zapotrzebowania na tego typu placówki w Łodzi?

— Zapewne odgrywa to swoją rolę, ale wydaje mi się, że decyduje też system kontaktów z wytwórcami. W ubiegłym roku na przykład w artykule pochodzenia przemysłowego w około 92 proc. zaopatrywaliśmy się bezpośrednio u wytwórcy.

— Ilu jest takich dostawców?

— Około 200. Blisko 50 proc. naszych kontaktów z wytwórcami odbywa się w ramach patronatu. Daje to nam spore korzyści, gdyż pozwala dostarczać na stoiska nowości, wspólnie możemy ponosić ryzyko, i co się z tym wiąże decydować o przecenie, jeśli towar nie idzie. Ale to daje nam też możliwość inspirowania wytwórców. Z przemysłu państwowego bierzemy na ogół te wszystkie nowości, które nam proponują, czasem sugerujemy jakies nowe wzory, aktualne w światowej modzie. Natomiast przemysł terenowy i spółdzielczość staramy się wykorzystywać przede wszystkim dla naszych potrzeb, proponując im produkcję tych wyrobów, których nie wytwarzają lub nie dostarczają nam przemysł państwowy.

Poza tym bardzo często stosujemy nie tyle kupowanie towarów już gotowych, co mocy produkcyjnych. Gwarantujemy producentowi zakup towarów, jaki jest zdolny wytworzyć przy określonej mocy produkcyjnej, ale jaki to będzie produkt decyduje-



Fot. Archiwum

BELCHATÓW

Na małym rynku, przedzielonym zielonymi barierkami, garażują rowery. Między barierkami toczy się ospały handelek. Waga dobrze tarowana, z ogryzkami na szalce, żeby było równo, w skrzynkach jabłka jak pięści. Bład słońce pasie się na ciuchowej tandencie, takiej do komunii, na chrzciny i na czarną stypę; nazyjnik, bransolety marki „Jablonek” i złote obrączki po dziecięć pięćdziesiąt, a między tym złotem wianki suszonego czosnku, co jest dobry na grypę i wszelkie choróbki. Na chodniku gęsto i żwawo, bo tu się handluje żywym drobiem spod pachy.

— Kura jak armata, cała balia rosół!
— Każden do mnie zaiwania, bo jest kogut do deptania i do gotowania! Grzebień jak łopata!

Tak sobie handluje małomiasteczkowy, parterowy Belchatów w cieniu nowych osiedli na Kościuszki i Pabianickiej. Tu omszały zabytkowy dwór, tam kościół i klasztor franciszkanów; mamusia i babcie popychają spacerowe wózki z dziećmi, a wąskimi ulicami rowerzyści pedałują gromadnie. Sennie jakoś, niby nie czuć tego wielkiego przemysłu, ale...

Nad rozhandlowanym rynkiem zwisa ramię potężnego dźwigu, obok sterczy prawie gotowy wieżowiec, do którego przeniesie się administrację oraz urządzenia socjalne Belchatowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego. To jest właśnie przystawka do nowego Belchatowa, który wkrótce z parteru podskoczy na kilka pięter.

Mit wielkiej budowy, to Eldorado i Klondike, knajp bez liku, taniec na stole i wściekle strzelanie czyli dobre pionierskie czasy. W Belchatowie niewinnie i cicho. Wprawdzie w pierwszej rano wydajemy w kawiarni mleczne dania śniadaniowe. Frekwencja jest jednak niewielka. Wydajemy też tylko sto pięćdziesiąt obiadów abonamentowych dziennie. Ale to początki i trzeba będzie rozbudować restaurację. A w ogóle to przydałby się drugi zakład zbiorowego żywienia.

Pani Krystyna Zielińska, kierowniczka „Jubileuszowej”, trochę się zala. — Do grudnia mieliśmy niezłe obroty. Teraz trochę spadły, ale po wyplacie znowu podskoczą. W mieście nie ma baru mlecznego. Powiadomiliśmy delegaturę i wszystkich zainteresowanych i od pierwszego stycznia od szóstej rano wydajemy w kawiarni mleczne dania śniadaniowe. Frekwencja jest jednak niewielka. Wydajemy też tylko sto pięćdziesiąt obiadów abonamentowych dziennie. Ale to początki i trzeba będzie rozbudować restaurację. A w ogóle to przydałby się drugi zakład zbiorowego żywienia.

— Mordownia, albo też przestawił się na zacisze barakowe, gdzie za te same pieniądze zamiast jednej można zniszczyć dwie butelki. —
Pani Zielińska wspominała powieść, że restauracja nie może wyrobić się z gotowaniem zup regeneracyjnych dla budowlanców. A jeśli idzie o śniadania mleczne, to o szóstej rano ludzie już pracują.

— My też przy kopalni znajdziemy sporo roboty — powiedział sierżant ze Służby Drogowej. — Tak, tak! Żebyśmy nie mieli za dużo pogrzebów. Ludzie przyzwyczajeni do jazdy rowerem, ulice jeszcze wąskie, a ruch coraz większy. Ci z kopalni motoryzują się na gwałt, bo teren rozległy, więc sam pan rozumie...

Wszystko się zgadza. Jak się dobrze rozejrzeć, to jednak widać wkraczającą do miasta kopalnię. Przez Belchatów pędzą ciężkie „Zily”, „Jelcze”, „Zubry” i „Tatry”; na skrzyżowaniach

znaki i tablice wskazujące drogi do kopalni i przyszyły elektrowni, a na murach nowe szyldy „Energobloku”, „Hydrobudowy”, SOWI, Delegatury Zjednoczenia Przemysłu Węgla Brunatnego i nowo powołanej Dyrekcji Kopalni. Aha, zapomniałbym o czteropiętrowym górniczym hotelu i stołówce. Mimo to trudno sobie wyobrazić, że blisko miasta leży 2,2 miliardów ton węgla brunatnego, i że to miasto musi dać mieszkania i żywić ludzi, którzy rocznie wydobywają będą 40 milionów ton...

3. —
Pomiędzy szesnastą a osiemnastą zaczyna się obłożenie belchatowskich sklepów. Począt pantoflową lecą sygnały, gdzie rzucił żeberka i schab, a gdzie świeże warzywa. W kolejkach wyprostowały się krzywe spojrzenia, tzn. miejscowi już nie patrzą krzywo na werbusiów, bo okazało się, że dzieki kopalniowym zwiększyły się narzuty towarów.

W oddziale WSS „Społem” ciężkie łamanie głów. Zwała się tysiące nowych klientów z grubą forszą w kieszeni, bo kopalnia to nie przemysł lekki, ani jakaś fabryka cukierków, zarobki wysokie. Trzeba coś zrobić, żeby ludzie mogli wydać na miejscu pieniądze. Tymczasem handel zaadaptował do swych potrzeb każdy metr kwadratowy. Nowe lokale będzie można otworzyć dopiero w trakcie rozbudowy śródmieścia.

Jedyny ratunek w PZGS. Już wiadomo, że oddalona od miasta kopalnia nie zaopatrywać będzie GS w Kleszczowie, natomiast w mieście zabuduje się dwa duże kioski spożywcze i zwiększy o dwieście miejsc w „Jubileuszowej”. Przy ciężkiej robocie trzeba dobrze zjeść, toteż rusza budowa nowej masarni przy istniejącej rzeźni. Ponadto, jak mnie poinformowano w KP PZPR, przy zagłębiu węglowym musi powstać zielone zagłębie.

4. —
Nigdy o tym nie myślałam, a mogę wyjść za górnik! Pracy może nie będzie tyle dla kobiet w kopalni, ale znajdzie się choćby w BZPB. Dlaczego? Bo mężczyźni z „Bawelny” patrzą już na kopalnię i zaczynają uciekać. Ich miejsce zaimają kobiety. Myślę, że dla zatrudnionych w przemyśle ciężkim będzie lepsze zaopatrzenie w artykuły żywnościowe. Po ciuchy też nie trzeba będzie jeździć do Łodzi i Pabianic. Na pewno wzrośnie zatrudnienie kobiet, bo słyszałam, że będzie budować się żłobki i przedszkola. No i mieszkania...

Kiedyś trzeba było upychać bilety na imprezy rozrywkowe po różnych spółdzielniach. Już dzisiaj kino „Północ” idzie przez dwa tygodnie z seansami na pełnych kompletach. Mniej chałtury, więcej artystów z prawdziwego zdarzenia. Bilety na dwa recitale Jarockiej wyprzedane przed czasem. W planie budowa nowego domu kultury.

5. —
Sekretarz Propagandy KP, zagorzały kibic, zwraca uwagę, że Józef Kaczmarek i jego koledzy będą mieli narzeczcie stawiąc gdzie sprzątki i trenować we właściwych warunkach. Sekretarz mówi, że jak nie było przemysłu, to nie było mecenasów i małe kluby — „SKRA”, „Start” i LKS — ledwie stały na nogach. Teraz mówi się o drugim stadionie i klubach typu „górnik” z dwiema podstawowymi sekcjami — piłki nożnej i boksu.

6. —
W Łekawie patrzyłem na przeciętą wpół chatę. Białe ściany, małe okna, nagie i brudny komin, za którym czarna jama strychu pod rozbebeszonym, zielonym ze starości dachem ze sterzciami żerdziemi. Chata stała przy drodze obsypana gruzem i śmieciami, przylegając bokiem do wysokiego podpiwniczono domu z czerwonej cegły, z szerokimi oknami w białym

7. —
Spotkałem się z poglądem, że między dziennikarzami piszącymi, posługującymi się maszyną do pisania, a dziennikarzami pracującymi w telewizji został wykopany rów. I że jest to zjawisko typowo polskie, gdzie indziej nie spotykane. Można nas — piszących — podejrzewać nawet o zazdrość wobec tych, którzy występują przed kamerami. Ale moim zdaniem jest to podejrzenie niczym nie uzasadnione, jak również i to, że istnieje między nami głęboki rów. Jestem przekonany, że takiego rowu nie ma. Dlaczego więc sprawy telewizji tak często goszczą na łamach gazet i czasopism? I dlaczego są najczęściej tak ostro a nawet złośliwie traktowane?

8. —
Powód pierwszy leży w niezwykłej popularności TV. Wyprzedza ona pod względem popularności znacznie prasę i radio. Ale też nie zawiści do TV, ani z zazdrości zajmujemy się jej sprawami. Przeciwnie. Właśnie z zainteresowania jej społecznym rezonan-

9. —
Przyjeżdżając do Warszawy, zgodziliśmy się na taką „kobre” — i jak zdołaliśmy się zorientować — coś w tym rodzaju przygotowywano, ale widać w ostatniej chwili koncepcja zmieniła się i znaleźliśmy się w diablenie poważnej atmosferze.

10. —
Chciałbym w tym miejscu przypomnieć fragmenty wypowiedzi adiunkta Zakładu Socjologii Kultury Uniwersytetu Łódzkiego — dr Zbigniewa Bokrzańskiego, udzielonej „ODGŁOSOM”:

11. —
Trzeba przecież pamiętać, że nasze społeczeństwo przechodzi gwałtowny proces awansu. Auditorium Telewizji Polskiej składa się z przeważającej mierze z ludzi, którzy przeszli lub przechodzą ten proces i nie mają

12. —
Kto ma chęć na ogrodnictwo, tego w Belchatowie przyjmą z otwartymi rękami i jeszcze dopłacą. Aby w miarę zaspokoić potrzeby ludności, w Belchatowie, jak nigdzie w kraju, sklepy pracują bez przerwy od rana do godziny dwudziestej drugiej, a w niedzielę do jedenastej.

13. —
Z bardzo młodą kobietą ze sklepowej kolejki przeprowadziłem bardzo

14. —
Nikt nie musi szukać pracy. Na placu budowy widziałem autobusy z napisem „Przewóz pracowników”. Z Pabianic i Łasku. W Pabianicach brakuje kierowców, ponieważ w Belchatowie można zarobić osiem — dziesięć tysięcy.

15. —
W Wydziale Zatrudnienia i Spraw Socjalnych prowadzi się gorączkowe kalkulacje. Nadał do fabryk w Łodzi i Pabianicach dojeżdża dwa tysiące osób. Daj Boże, aby wszyscy chcieli podjąć pracę w zagłębiu, bo inaczej stanie „Bawelna” mleczarnia, fabryka cukierków i inne, gdyż z tych zakładów ludzie odpływają do kopalni. Jednocześnie w Wydziale leży kilkadziesiąt podań fachowców z całej Polski, ale ponieważ nie ma jeszcze mieszkań, w pierwszej kolejności trzeba przyjmować pracowników z terenu powiatu.

16. —
Zima jest wiosenna, toteż na ulicy 9 Maja spotkałem grupę chłopców z piłką. Do rozmowy wypchnęli czarne-go Bolka z ósmej klasy.

17. —
Tata jest tkaczem i chciał, żeby wycyzył się tego zawodu. Starszy brat wyjechał na Śląsk. Też mi się to marzyło, ale nie było rady...

18. —
I kopalnia sama przysłała?
— No, właśnie. Od września idę do szkoły górniczej...

19. —
Połowa czekających na zatrudnienie nie posiada kwalifikacji. Trzeba ich przyuczyć do zawodu. Młodzież na razie kształci się w Koninie, ale już od września w Kamięnsku rusza I klasa Zasadniczej Szkoły Górniczej i Technikum Górniczej. We wrześniu otwarta zostanie również ZSG „Energobloku” w Belchatowie. Jednakże i tak nie starczy miejscowych rąk do pracy. W bieżącym roku ludność Belchatowa zwiększy się o pięćdziesiąt procent. Kombinat zatrudni około 7 tysięcy osób. Oprócz mieszkań i żywienia trzeba zapewnić nowym mieszkańcom m.in. opiekę lekarską. Służba Zdrowia liczy na szeroką współpracę z łódzką WAM.

20. —
W tym roku nastąpi też szybka rozbudowa ośrodka wypoczynkowo-rekreacyjnego w Domiechowicach. Pamiętaj się o wszystkim...

21. —
W Łekawie patrzyłem na przeciętą wpół chatę. Białe ściany, małe okna, nagie i brudny komin, za którym czarna jama strychu pod rozbebeszonym, zielonym ze starości dachem ze sterzciami żerdziemi. Chata stała przy drodze obsypana gruzem i śmieciami, przylegając bokiem do wysokiego podpiwniczono domu z czerwonej cegły, z szerokimi oknami w białym

22. —
Spotkałem się z poglądem, że między dziennikarzami piszącymi, posługującymi się maszyną do pisania, a dziennikarzami pracującymi w telewizji został wykopany rów. I że jest to zjawisko typowo polskie, gdzie indziej nie spotykane. Można nas — piszących — podejrzewać nawet o zazdrość wobec tych, którzy występują przed kamerami. Ale moim zdaniem jest to podejrzenie niczym nie uzasadnione, jak również i to, że istnieje między nami głęboki rów. Jestem przekonany, że takiego rowu nie ma. Dlaczego więc sprawy telewizji tak często goszczą na łamach gazet i czasopism? I dlaczego są najczęściej tak ostro a nawet złośliwie traktowane?

23. —
Powód pierwszy leży w niezwykłej popularności TV. Wyprzedza ona pod względem popularności znacznie prasę i radio. Ale też nie zawiści do TV, ani z zazdrości zajmujemy się jej sprawami. Przeciwnie. Właśnie z zainteresowania jej społecznym rezonan-

24. —
Przyjeżdżając do Warszawy, zgodziliśmy się na taką „kobre” — i jak zdołaliśmy się zorientować — coś w tym rodzaju przygotowywano, ale widać w ostatniej chwili koncepcja zmieniła się i znaleźliśmy się w diablenie poważnej atmosferze.

25. —
Chciałbym w tym miejscu przypomnieć fragmenty wypowiedzi adiunkta Zakładu Socjologii Kultury Uniwersytetu Łódzkiego — dr Zbigniewa Bokrzańskiego, udzielonej „ODGŁOSOM”:

26. —
Trzeba przecież pamiętać, że nasze społeczeństwo przechodzi gwałtowny proces awansu. Auditorium Telewizji Polskiej składa się z przeważającej mierze z ludzi, którzy przeszli lub przechodzą ten proces i nie mają

27. —
Kto ma chęć na ogrodnictwo, tego w Belchatowie przyjmą z otwartymi rękami i jeszcze dopłacą. Aby w miarę zaspokoić potrzeby ludności, w Belchatowie, jak nigdzie w kraju, sklepy pracują bez przerwy od rana do godziny dwudziestej drugiej, a w niedzielę do jedenastej.

28. —
Z bardzo młodą kobietą ze sklepowej kolejki przeprowadziłem bardzo

29. —
Nikt nie musi szukać pracy. Na placu budowy widziałem autobusy z napisem „Przewóz pracowników”. Z Pabianic i Łasku. W Pabianicach brakuje kierowców, ponieważ w Belchatowie można zarobić osiem — dziesięć tysięcy.

30. —
W Wydziale Zatrudnienia i Spraw Socjalnych prowadzi się gorączkowe kalkulacje. Nadał do fabryk w Łodzi i Pabianicach dojeżdża dwa tysiące osób. Daj Boże, aby wszyscy chcieli podjąć pracę w zagłębiu, bo inaczej stanie „Bawelna” mleczarnia, fabryka cukierków i inne, gdyż z tych zakładów ludzie odpływają do kopalni. Jednocześnie w Wydziale leży kilkadziesiąt podań fachowców z całej Polski, ale ponieważ nie ma jeszcze mieszkań, w pierwszej kolejności trzeba przyjmować pracowników z terenu powiatu.

31. —
Zima jest wiosenna, toteż na ulicy 9 Maja spotkałem grupę chłopców z piłką. Do rozmowy wypchnęli czarne-go Bolka z ósmej klasy.

32. —
Tata jest tkaczem i chciał, żeby wycyzył się tego zawodu. Starszy brat wyjechał na Śląsk. Też mi się to marzyło, ale nie było rady...

33. —
I kopalnia sama przysłała?
— No, właśnie. Od września idę do szkoły górniczej...

34. —
Połowa czekających na zatrudnienie nie posiada kwalifikacji. Trzeba ich przyuczyć do zawodu. Młodzież na razie kształci się w Koninie, ale już od września w Kamięnsku rusza I klasa Zasadniczej Szkoły Górniczej i Technikum Górniczej. We wrześniu otwarta zostanie również ZSG „Energobloku” w Belchatowie. Jednakże i tak nie starczy miejscowych rąk do pracy. W bieżącym roku ludność Belchatowa zwiększy się o pięćdziesiąt procent. Kombinat zatrudni około 7 tysięcy osób. Oprócz mieszkań i żywienia trzeba zapewnić nowym mieszkańcom m.in. opiekę lekarską. Służba Zdrowia liczy na szeroką współpracę z łódzką WAM.

35. —
W tym roku nastąpi też szybka rozbudowa ośrodka wypoczynkowo-rekreacyjnego w Domiechowicach. Pamiętaj się o wszystkim...

36. —
W Łekawie patrzyłem na przeciętą wpół chatę. Białe ściany, małe okna, nagie i brudny komin, za którym czarna jama strychu pod rozbebeszonym, zielonym ze starości dachem ze sterzciami żerdziemi. Chata stała przy drodze obsypana gruzem i śmieciami, przylegając bokiem do wysokiego podpiwniczono domu z czerwonej cegły, z szerokimi oknami w białym

37. —
Spotkałem się z poglądem, że między dziennikarzami piszącymi, posługującymi się maszyną do pisania, a dziennikarzami pracującymi w telewizji został wykopany rów. I że jest to zjawisko typowo polskie, gdzie indziej nie spotykane. Można nas — piszących — podejrzewać nawet o zazdrość wobec tych, którzy występują przed kamerami. Ale moim zdaniem jest to podejrzenie niczym nie uzasadnione, jak również i to, że istnieje między nami głęboki rów. Jestem przekonany, że takiego rowu nie ma. Dlaczego więc sprawy telewizji tak często goszczą na łamach gazet i czasopism? I dlaczego są najczęściej tak ostro a nawet złośliwie traktowane?

38. —
Powód pierwszy leży w niezwykłej popularności TV. Wyprzedza ona pod względem popularności znacznie prasę i radio. Ale też nie zawiści do TV, ani z zazdrości zajmujemy się jej sprawami. Przeciwnie. Właśnie z zainteresowania jej społecznym rezonan-

39. —
Przyjeżdżając do Warszawy, zgodziliśmy się na taką „kobre” — i jak zdołaliśmy się zorientować — coś w tym rodzaju przygotowywano, ale widać w ostatniej chwili koncepcja zmieniła się i znaleźliśmy się w diablenie poważnej atmosferze.

40. —
Chciałbym w tym miejscu przypomnieć fragmenty wypowiedzi adiunkta Zakładu Socjologii Kultury Uniwersytetu Łódzkiego — dr Zbigniewa Bokrzańskiego, udzielonej „ODGŁOSOM”:

41. —
Trzeba przecież pamiętać, że nasze społeczeństwo przechodzi gwałtowny proces awansu. Auditorium Telewizji Polskiej składa się z przeważającej mierze z ludzi, którzy przeszli lub przechodzą ten proces i nie mają

42. —
Kto ma chęć na ogrodnictwo, tego w Belchatowie przyjmą z otwartymi rękami i jeszcze dopłacą. Aby w miarę zaspokoić potrzeby ludności, w Belchatowie, jak nigdzie w kraju, sklepy pracują bez przerwy od rana do godziny dwudziestej drugiej, a w niedzielę do jedenastej.

43. —
Z bardzo młodą kobietą ze sklepowej kolejki przeprowadziłem bardzo

44. —
Nikt nie musi szukać pracy. Na placu budowy widziałem autobusy z napisem „Przewóz pracowników”. Z Pabianic i Łasku. W Pabianicach brakuje kierowców, ponieważ w Belchatowie można zarobić osiem — dziesięć tysięcy.

45. —
W Wydziale Zatrudnienia i Spraw Socjalnych prowadzi się gorączkowe kalkulacje. Nadał do fabryk w Łodzi i Pabianicach dojeżdża dwa tysiące osób. Daj Boże, aby wszyscy chcieli podjąć pracę w zagłębiu, bo inaczej stanie „Bawelna” mleczarnia, fabryka cukierków i inne, gdyż z tych zakładów ludzie odpływają do kopalni. Jednocześnie w Wydziale leży kilkadziesiąt podań fachowców z całej Polski, ale ponieważ nie ma jeszcze mieszkań, w pierwszej kolejności trzeba przyjmować pracowników z terenu powiatu.

46. —
Zima jest wiosenna, toteż na ulicy 9 Maja spotkałem grupę chłopców z piłką. Do rozmowy wypchnęli czarne-go Bolka z ósmej klasy.

47. —
Tata jest tkaczem i chciał, żeby wycyzył się tego zawodu. Starszy brat wyjechał na Śląsk. Też mi się to marzyło, ale nie było rady...

48. —
I kopalnia sama przysłała?
— No, właśnie. Od września idę do szkoły górniczej...

49. —
Połowa czekających na zatrudnienie nie posiada kwalifikacji. Trzeba ich przyuczyć do zawodu. Młodzież na razie kształci się w Koninie, ale już od września w Kamięnsku rusza I klasa Zasadniczej Szkoły Górniczej i Technikum Górniczej. We wrześniu otwarta zostanie również ZSG „Energobloku” w Belchatowie. Jednakże i tak nie starczy miejscowych rąk do pracy. W bieżącym roku ludność Belchatowa zwiększy się o pięćdziesiąt procent. Kombinat zatrudni około 7 tysięcy osób. Oprócz mieszkań i żywienia trzeba zapewnić nowym mieszkańcom m.in. opiekę lekarską. Służba Zdrowia liczy na szeroką współpracę z łódzką WAM.

50. —
W tym roku nastąpi też szybka rozbudowa ośrodka wypoczynkowo-rekreacyjnego w Domiechowicach. Pamiętaj się o wszystkim...

51. —
W Łekawie patrzyłem na przeciętą wpół chatę. Białe ściany, małe okna, nagie i brudny komin, za którym czarna jama strychu pod rozbebeszonym, zielonym ze starości dachem ze sterzciami żerdziemi. Chata stała przy drodze obsypana gruzem i śmieciami, przylegając bokiem do wysokiego podpiwniczono domu z czerwonej cegły, z szerokimi oknami w białym



Fot. Z. Wieczorek

PROPOZYCJE

JAK NIE WYSTĄPIŁEM W „KOBRA”

Użyłem w tytule nazwę Teatru Telewizji „Kobra” nie w dosłownym znaczeniu, a w przenośni. W mowie potocznej bardzo często dla określenia tajemniczych a nadzwyczajnych sytuacji używa się słowa: „kobra”. „NAWET ŻYCIOWE — pisał niedawno w „Trybunie Ludu” (grl) — A TAJEMNICZE CZY GROźNE SYTUACJE, OKREŚLAMY TYM MIANEM: „PRAWDZIWA KOBRA.” Przypominam też, że wiążąc się przed każdym spektaklem „Kobry” wąż, mruga do telewizorów okiem, dając niejako do zrozumienia, że może to być wcale niezła zabawa i nie traktując tego, co tu zobaczycie zbyt poważnie. A więc „kobra” może być również dobrą zabawą.

Nasza kochana telewizja unika jednak zabawy. skierowując całą swoją uwagę na sprawy poważne, zasadnicze, pryncypialne, starając się im jedynie nadać formę widowiska. Czasem tylko udaje się TV zabawa i to, co najdziwniejsze, w programach kulturalnych, choć tradycja nas nauczyła, aby sprawy kultury traktować niezwykle poważnie. Serdeczne dzięki i za to.

Dla pełnego więc wyjaśnienia: nie miałem wystąpić w „Kobrze”. Wraz z kilkunastu dziennikarzami, piszącymi o telewizji, zostałem zaproszony do zupełnie innego programu. Miało to być — tak to rozumieliśmy i na to przygotowaliśmy się — zabawne spotkanie ludzi piszących o telewizji z ludźmi uprawiającymi trudną sztukę telewizji. Z Łodzi pojechała nas, do Warszawy czwórka: poza mną, Andrzej Hampel, Małgorzata Karbowiak i Tadeusz Szczepański. I żeby sprawa była już całkowicie jasna, nie mam do nikogo pretensji, że nie wystąpił przed kamerami TV. Przeciwnie. Po nagraniu, sami sugerowaliśmy twórcom programu, aby raczej tej audycji nie puszczali na antenie. Nie można więc nikogo z nas podejrzewać, że za wszelką cenę chcieliśmy się pokazać na ekranie.

O telewizji pisuję mało, a to dlatego, że przede wszystkim interesują mnie różne zjawiska społeczne niezależnie od tego, gdzie się one dzieją. Interesują mnie mechanizmy kształtowania społecznej świadomości, powstawanie i upadanie różnych stereotypów. Należałoby więc raczej powiedzieć, że o telewizji pisuję wtedy, kiedy zainteresuje mnie ona jako miejsce powstawania takiego zjawiska lub jako jego przejaw czy odbicie.

To zastrzeżenie uważam za niezwykle istotne, gdyż piszący o telewizji stosują różne kryteria. Jedni zwracają

szczególną uwagę na artystyczne wartości audycji telewizyjnych, inni koncentrują się na wartościach społecznych, zajmując się bardziej treścią niż formą. Nie widzę w tym nic dziwnego, ale spodziewam się, że ta różnorodność kryteriów, jakie stosuje się przy pisaniu o telewizji, rodzi też nieporozumienia.

Kiedy piszący o telewizji z Rzeszowa, Poznania, Łodzi, Gdańska spotkali się w gmachu TVP w Warszawie i przygotowali się do niezłej — w naszym przekonaniu — zabawy, jaką powinno było być spotkanie recenzentów z twórcami, zabawy przede wszystkim dla widzów, ktoś powiedział: — Ale z tego może być wcale niezła „kobra”! Przyjeżdżając do Warszawy, zgodziliśmy się na taką „kobre” — i jak zdołaliśmy się zorientować — coś w tym rodzaju przygotowywano, ale widać w ostatniej chwili koncepcja zmieniła się i znaleźliśmy się w diablenie poważnej atmosferze.

Chciałbym w tym miejscu przypomnieć fragmenty wypowiedzi adiunkta Zakładu Socjologii Kultury Uniwersytetu Łódzkiego — dr Zbigniewa Bokrzańskiego, udzielonej „ODGŁOSOM”:

Trzeba przecież pamiętać, że nasze społeczeństwo przechodzi gwałtowny proces awansu. Auditorium Telewizji Polskiej składa się z przeważającej mierze z ludzi, którzy przeszli lub przechodzą ten proces i nie mają



BOGUSŁAW SIKORSKI

TWOJE RĘCE

Jak twe ręce
są milczące
Jak twe ręce
osty zaczesane
Jak twe ręce
Zmiennych uczuć
pełne
Jak twe ręce
liście wiosny
Jak twe ręce
rzeką płyną
Jak twe ręce
w locie ptaka
Jak twe ręce
krzyżem w górę
uniesione
Jak twe ręce
gdy w ucieczce
Jak twe ręce
moim ręką
pomagają



To pozostało we mnie
to pozostało w tobie.
Tę równinę niepojętą widać
zmienioną i stałą.
Tę równinę poza nami,
a obecną w każdym z nas.
Ile pokoleń utrwalało
ten ślad.
One są we mnie
one są w tobie.
Rzyska i sny spokojne.
Czas odkrycia
Czas urodzenia.
Czas nowy
i czas najnowszy.
Rosnący we mnie
rosnący w tobie.



DLA CIEBIE

Dla ciebie kwiaty
i suche liście
Dla ciebie ptaki
i ryby w akwarium
Dla ciebie człowiek
i rzeźba przestrzenna
Dla ciebie ziemia
i matka choruje
Dla ciebie krzyk
i urodzony żyje.

Potem długo, w męczarniach, wyzwała się spod siły oczu w nią wpatrzonych, przyciągających jak magnes, zniewalających; tak jasnych, że aż przezroczystych, że aż białych, podobnych oczom śniętej ryby. Pochyliły się nad nią coraz niżej i niżej — krzyknęła raz i drugi.

Przez sen posłyszała swój krzyk: był prawdziwy. Przeraziło ją to; ta prawdziwość krzyku i strach, jaki w nim brzmiał rozpaczliwą nutą, zniszczyły ostatnie, słabe już poczucie bezpieczeństwa, płynące ze świadomości, że wszystko, co ją przeraża, co zamierza ją zniszczyć, unicestwić, zabić, te białe oczy patrzące z twarzy ojca, ojca-Frankensteina, strużka śliny sącząca się z jego wół otwartych ust, oddech, jakże duszący — rozgrywa się w sennym majaku. Krzyk był prawdziwy, więc ze snem zerwana ostatecznie. I tak jak wczoraj wieczorem, podczas projekcji filmu o Frankensteinie, znalazła się nagle wewnątrz, w samym środku zielonkawego światła bijącego od telewizora, uwięziona przez nie, otoczona — sama z męką palonego i z rzeźącym w podnieceniu oddechem ojca, a meble i inne przedmioty pokoju oddaliły się gdzieś poza, stając się czymś bezkształtnym, nie-rozpoznawalnym, obcym: stół przestał być stołem, a krzesło krzesłem i prawdopodobnie nie potrafiłaby ich nawet nazwać; tak teraz prawdziwość krzyku zamknęła ją w pułapce oczu, pochylonych nad nią, krzyk był prawdziwy, koszmar zamienił się w rzeczywistość. Wczoraj nie lękała się Frankensteina, wczoraj Frankenstein miał własną twarz; przerażała ją tylko jego śmierć — jak każda inna śmierć: człowieka, potwora czy ptaka, obojętnie; teraz krzyk, wydany w samoobronie, skazywał — twarz Frankensteina miała oczy ojca, i usta ojca, i ta strużka śliny należała do ojca: zawsze, gdy ktoś umierał na ekranie telewizora, gdy umierał wymyślnie — cierpiąc, ojcu ciekła ta strużka śliny. Była równie przerażająca jak śmierć. Była bardziej przerażająca niż śmierć.

Chciała krzyknąć raz jeszcze, uratować się krzykiem. lecz już nie potrafiła. Oczy ojca zmatowiały. Jak wtedy, jak w dniu, w którym kazał jej zadławić pisklę wróble.

Znalazła je w ogrodzie. Wypadło z gniazda. Było brzydkie, z rozdętą gardzielą jak wolem i szerokim, rozdzawiającym się co chwila dziobem. Dziób otwierał się, niewiarygodnie przepastny, szeroki, skrzecząc wysuwał ohydnie żółty język. Ale reszta ciała budziła litość: skrzydełka, jeszcze nie opierzone, usiłowały ratować je bezskutecznymi próbami ucieczki; więc i ta bezbronna skrzydełek, i ta miękkość ciała, i to, co w nim tak tłuścio, trzepotało w rozpaczliwej obronie, oszalało ze strachu: życie. Przyniosła pisklę do domu, owinęła w watę. Starala się je ogrzać własnym oddechem. Tulila w dłoniach. Płakała. Czula wyraźnie, że i w niej, podobnie jak w tym kruchym ciałku, coś tłucze i trzepocze. Ojciec powiedział: cóż za obrzydliwość. Wróble są szkodnikami. Wyrzuć to. Nie chciała wyrzucić. Przytuliła pisklę do siebie, do swego policzka, zastąpiła kołyską splecioną z dłoni Ojciec wpadł w pasję. Zbladł. Nie chcesz? Nie chcesz? Jesteś równie obrzydliwa jak ono. Ja cię zmuszę. Pochylił się, zbliżył swoją dużą twarz do jej malej twarzy. Przeraziła się jego oczu, po raz pierwszy zobaczyła je tak białymi. Usta ojca poruszały się przy jej ustach, bąbelki śliny rozpryskiwały się na wardze wilgotnej, różowawej. Jeżeli tego nie zrobisz — poruszą się usta wraz z bąbelkami śliny — ja to zrobię za ciebie. Zduszę, rozdepczę. Gdzieś z tyłu, zza pleców, cicho krzyknęła matka: Jezu. A wtedy wyjął z tego wnętrza i każe ci zbierać — poruszały się usta. Zaciśnięta kolebka dłoni na pulsującym ciałku pisklęcia. Nawet nie poczuła, aby pisklę, tylko lebek opadł na bok, a dziób — ten dziób niedorzecznie wielki rozdziawił się niemo, bez skrzeku. Błyszące paciorka oczu zeszytywały; miała wrażenie, że za moment wypadną i potoczą się grzechocząc po posadzce kuchennej. Trzymała w rękach martwe pisklę; ojciec upadł, ślina pociekła mu z ust, oczy zaciągnęły bielmem. Jak u lalki Małgorzaty, gdy — ciekawa, dlaczego tak śmiesznie mrugają — popchnęła je lekko palcem, a one wpadły w głąb lalczynę głowy. Weisnęła się za kuchenny kredens, stamtąd patrzyła na ojca, zafascynowana i jednocześnie skamieniała z przerażenia — bil głową o posadzkę, obcy i nieprawdziwy, a przecież rzeczywisty i groźny: straszny potwór. Matka ratowała go, cicho jęcząc: Boże, Boże.

— Bronia! Bronia!
Ktoś płakał.
— Bronia! Bronia!
Czyż — cudzy — płacz.
— Bronia!
Oczy pochłonięta ciemnością głęboka jak studnia. Ciemność była lepka, gęsta, cuchnąca pleśnią. Spadało się w nią długo, długo. Na dole połyskiwała omszała zielenia.

— Broniaaaa!
Wisiała na samej krawędzi. Tam w dole utonęły oczy, zaciągnęła się nad nimi gęsta maź zgnitej od dawna wody. Syknał tylko pęcherzyk powietrza, drgnęła na moment pleśń. Jedyne

miejsce w ogrodzie, którego się obawiała, a do którego wciąż ją nieodparcie ciągnęło, to ta stara, rozpadająca się studnia, obsadzona trzema śliwami. Śliwy były też stare, nie rozdziły owoców, sterczały suche, na polychrónie, obejmując się poskręcany ramionami gałęzi. Jak zło, czyhające na ofiarę czarownicy. Skrzybiały na wietrze i zawsze wtedy przypominała się Broni bajka Grimma o trzech wisielcach: ojciec wieczorami często czytywał na głos bajki Grimma, bardzo je lubił.



Wśród cudownych zabaw, gdy stawała się królewna, zwycięskim rycezem, odnajdywała lampę Aldyna, czarodziejskie krzesiwo, otwierała Sezamy — niespodziewanie, znielena jak-kiś dźwięk, zapach, cień sygnalizowały istnienie studni: gałązka, która zagłębiała się jak szpon, cień zbyt czarny, zbyt wydłużony, zgrzyt rozdeptanego szkiełka pod pantoflem, chrzęst piachu za głosem, powiew chłodu — studnia rozkazywała: przyjdź. Bronia przerywała zabawę, uciekała na drugi kraniec ogrodu, powtarzała gorączkowe zaklęcia, znała ich przecież tyle, potrafiła zakląć kamyczek w brylant, kropkę wody w perłę, ścieżkę ogrodową zamieniać w rwącą rzekę, trawnik w nieprzebyte morze, stać się żurawiem, okrętem, rybą, wróżką najpotężniejszą z potężnych. Studnia była silniejsza — istniała prawdziwie. Za pasmem sadu, za klombami kwiatów, zagonek warzyw — stała nie wymyślona, ze swoją przepastną, cuchnącą, zgniętą ciemnością, prowadzącą wprost do środka ziemi.

Chłód obejmował czoło, mroził dłoń, ścisnął serce — posłuszną wezwaniu, szła. Zbliżając się do grupy śliw, zaciskała oczy silnie, aż do bólu. Od- kąd wrona, siedząca na jednym z drzew, zerwała się z czarnym łomotem skrzydeł, kracząc przeraźliwie. Bronia nie odważyła się patrzeć. Ale mimo zaciśniętych powiek i tak wyczuwała obecność tamtych trzech: ojciec celebrował swoje wieczorne seanse czytania bajek, wygaszał górne światła i pokój zanurzał się w gęstym półmroku. Stara lampa, stojąca w kącie, odziana w spłowiwały abażur z frędzlami, rzucała jak reflektorem sноп rdzawego światła wprost na głowę ojca — a ta nagle zaczynała żyć jakimś odrębnym, samotnym życiem, bez udziału reszty ciała, odcięta od niego i od ramion mrokiem: poruszała brwiami, marszczyła czoło, otwierała usta, to krzywiąc je, to wydymając. Bronia wstrzymywała oddech, zafascynowana niesamowitą żywotnością tej głowy, czekała na moment, w którym głowa nie utrzyma się już dłużej i spadnie. Matka wtulona w fotel drzemała, odpoczywając po ciężkim dniu pracy, Jacek najczęściej usypiał po kwadransie, ale wszyscy musieli słuchać bajek Grimma, wszyscy musieli być obecni. Frędzle przy abażurze drżały, niesamowita głowa wciąż się trzymała i żyła, kruki przyciążone nad trzema wisielcami rozprawiły cicho modulowanym głosem ojca, skrzybiały pokutniczo gałęzie śliw; studnia wraz ze swoimi strażniczkami przychodziła w te wieczory tutaj, do tego domu, do tego pokoju, ogarniała zebranych zielonym, spleśniałym mrokiem, zanurzała ich w sobie stopniowo, powoli, bezlitośnie. Tylko głowa ojca wciąż żyła, wychylona poza krawędź mroku.

Gdy wreszcie obejmowała — jak ślepiec — wyciągniętymi ramionami chłodną cembrowinę studni, oddychał z ulgą, lecz za nic, za żadną cenę, nie obejrzałaby się za siebie. Z zamkniętymi oczami czekała znaku. Wierzyła, że go otrzyma, bo otrzymywała zawsze: plusk nisko w dół, a przecież woda w studni nie odbijała głosu, głos spadał w nią jak kamień ciężko i głucho, ginał wysany przez pleśń — bez echa. Skąd plusk? Skąd echo? To studnia wysyłała z głębi znak, pozwalała otworzyć oczy, śliwom-czarownicom odbierając ich moc — skrzybiały za plecami złe lecz bezsilne.

Przez jakiś czas pozostawała nadal ślepa, zbyt długo i zbyt silnie zaciśnięta powieki. Potem zaczynała różnić — brunatne plamy na cembrowinie to mchy, pasma ciemnej, aż czarnej, zieleni to pleśń. Zmatowiała woda daleko, w dół, jak zakurzone lustro, nieczego w sobie nie odbijając — ani nieba, ani chmur, ani słońca — oddzielała niebo, chmury i słońce od środka ziemi. Środek ziemi był tam, za wodą. Chodź przywoływała studnia, chodź.

Nie chciała iść. Bała się. Z wnętrza ziała wilgoć, cuchnęła zgnilizna. Patrzyła — studnia wydłużała się w tunel. Pleśń otwierała zieloną gardziel. Chytre mchy kosmatymi zygzakami posuwały się ku górze. Ku niej. Oplotą i wciągną. Spadnie w dół bez echa, gardziel pleśni zamknie się nad nią, a ona dalej będzie spadać, bez końca, bez końca, bo czy ktoś wie, jak głęboko jest środek ziemi?

Odsuwała się od cembrowiny. Centymetr po centymetrze. W bajce Grimma biedna dziewczynka wskakiwała do studni, aby znaleźć się w niebie, z którego można powrócić szczęśliwą i bogatą. Ta studnia była Inna od wszystkich innych studni, nawet w najjaśniejszy dzień nie wpuszczała do siebie światła. Chodź, nakazywała, chodź.

Centymetr po centymetrze. Najpierw ostrożnie zdjąć ręce z krawędzi. Potem przygotować się do ucieczki; zdążyć, nim mchy dosięgną. Potem uciekać, zasłaniając głowę przed czarownicami. Czasem uderzała Bronię w twarz jakaś zeschnięta gałązka opadająca ze śliwy; biegła przez ogród krzycząc. Zaniepokojona matka wychodziła przed dom i jeżeli tego dnia było słońce, składała ręce w daszek osłaniający oczy, jak gdyby pragnąc lepiej zobaczyć tego, kto tak krzyczy w ogrodzie, chociaż matka doskonale wiedziała, że tak krzyceć może tylko Bronia. Ach, Broniu — mówiła z westchnieniem i rezygnacją — i znowu coś ci się wydaje.

Teraz nie miała dokąd uciekać. Za nią była ciemność i przed nią była ciemność. Gładki tunel, zakończony zgniętą wodą, prowadził do środka ziemi, studnia dokonała wreszcie swego dzieła. Tyle razy udawało się wyzwoleńcu spod jej złowrogiej siły, umknąć w ostatnim momencie, teraz nastąpił koniec, spadnie. Już spada. Czy krzyce? — pomyślała Bronia.

— Bronia!
Czyż krzyk i — cisza. Cisza jak śmierć. Bez barwy, bez dźwięku, ani strachu, ani bólu, nic. Przewalała w niej istnieć. Na jak długo?

Pierwsze dożnanie — ciepło na powiekach. To chyba słońce — pierwsze, niepewne rozpoznanie. Potem zapach: jaśminu czy bzu? Zaraz pod oknem rosły bzy i jaśminy. Więc przypomnienie barwy: bez... bez lekko fioleto- wy, jaśmin biało-złoty. W bzach zawsze buszowały wróble, więc pierwszy dźwięk to ich nachalne, hałaśliwe i wcale nie melodyjne ćwierkanie. I ten dźwięk dopiero, o ile konkretniejszy niż ciepło na powiekach, które mogły być słońcem, lecz czy nim było? niż zapach jaśminów i bżów, które mogły być tylko złudzeniem, dźwięk realny: wróble darły się jak opętane, napełnił Bronię radością, całkowicie wyzwalał od koszmarów snu i koszmaru nieistnienia. Nigdy nie wiedziała, co jest straszniejsze — te majaki, czy to, co po nich nieodmiennie następowało, a czego zupełnie nie potrafiła przypomnieć.

— Bronia.
Nie, nie! Nie chciała psuć swojej radości przebudzenia widokiem brata. Płaczliwy głos dochodził z bliska, może Jacek podczołgał się pod łóżko, może wcisnął się w kąt za szafę, wszy-



Rys. A. Grun

ako jedno, gdzie jest i co robi, nie chce go widzieć, jego twarzyczka jak szczyrty pyszczyk chytra i wąska, ze spiczastą brodą, bladymi ustami zawsze sprawiała przykre wrażenie, jedynie matka potrafiła się zdobyć na czułość gestu i czułość spojrzenia. Odejdź, szczyrku, zamruczaj leniwie Bronia, odejdź. Była szczęśliwa: wciąż słyszała wrzask wróbla. I wiedziała już, że ciepło na powiekach jest na pewno słońcem, a zapach jest zapachem bżów i jaśminów, które na pewno rosną pod oknem. Po słońcu i zapachach poznała, że zapowiadał się piękny dzień.

Fragment powieści „Tajemnica”.

FRASZKI

ZAKOPIAŃSKA

Najlepiej poznasz nasze polskie Tatry, forsując przełęcz między stolikami „Warty”.

MILICYJNA

Dała mu dowód miłości tamiast dowodu tożsamości.

FILOZOFIA

Mam może siedzieć rok lub dwa lata? Nie jestem wariat! Udam wariata.



Jacek Bromski

NOC POŚLUBNA we Troje

Ma to być opowiadanie z lekką rozerotyzowaną, zresztą już tytuł sugeruje sytuację w jakimś stopniu pikantną: noc poślubna we troje. Zaciekawiony czytelnik wglębia się w tekst, żeby jak najszybciej dowiedzieć się szczegółów. We troje? To znaczy dwie kobiety i jeden mężczyzna (życzą sobie mężczyźni). Albo dwóch mężczyzn i jedna kobieta (wyobrażają sobie kobiety). Zwolennicy zaś pewnej surowości obyczajów oddychają z ulgą. Noc poślubna — a więc sprawa niejako zalegalizowana. A tymczasem wszystko to niepotrzebnie. Historia wyglądała zupełnie inaczej. Po prostu szedłem sobie ulicą i ni stąd, ni zowąd wdepnąłem w gówno. Pewnie psie. Rozmazało mi się toto pod podeszwą, coś okropnego. Doszedłem więc tych parę kroków do trawnika i starannie wytarłem obuwie, usuwając patykami resztki brunatnej mazi spod obcasa. A jeżeli historyjka wydaje wam się za mało pieprzona, to proszę: dupa, dupa, dupa. Stać mnie na to.

Przyszło mi to wszystko do głowy, kiedy pomyślałem sobie, co by to było, gdybym się ożenił. Ponieważ moja żona nie odstępowała mnie ani na krok, trzeba by było tę następną noc poślubną spędzić we troje. Dobrze, nie?



Jacek Bromski

BAJKA O PROMETEUSZU

Nazywał się ten chłop Mateusz. A mieszkał nad Wisłą w lesie. Z babą. Byłże to chłop wielki i jurny więc i babę miał w wymiarach odpowiednich: 4 łokci, 3 łokcie, 4 łokcie. A że mu baby tej i władka zazdrościł, i inși, chłop Mateusz dumny chodził, na babę spozierał i mawiał: „Rozdziawiaj się”

A baba, jak to baba: coraz jej było nie w smak. To grzyby niedobre, to wnyki znowu puste, to na jagody patrzeć nie może. Życie bo też mieli monotonne, kartofli nie było, kapustę i kalafory dopiero królowa Bona przywieźć miała za parę wieków,

strawa jednostajna była, a w dodatku nie gotowana. Ognia jak nie potrafili wykrzesać. Próbowal chłop Mateusz, trzeba mu przyznać, wiele razy. Krzesal, krzesal, ale tylko mu holubce wychodziły. Wchodził więc zniechęcony pod pierzynę i mówił do baby: „Rozdziawiaj się!”

A tu baba patrzy raz w słońce i mówi: „Idź, stary na słońce, żagiew przynieś.” Chłop Mateusz popatrzał, popatrzał, w głowę się podrapał i pyta: „Ale jak?”. „A po drzewie” mówi baba. Zafrasował się chłop Mateusz i do baby: „Na śmierć mnie posyłasz, to i rozdziawiaj się”. A potem zaraz przeżegnał się i poszli z babą szukać drzewa do kniei. Chodzili, chodzili, aż znaleźli najwyższe. To się zaczął chłop Mateusz drapać. W

drapał się na wierzchołek od począł i krzyczy do baby: „I co?” A słońce akurat zaszło. „Ty stary, głupi!” krzyczy baba. „Poczekaj do rana”. I sama siadła se pod drzewem, jagody zrywa, maliny, chłopca na dół nie puszcza. Chwycił się chłop Mateusz gałęzi i tak przesiedział. Rano baba go budzi, szyszkami rzuca. A słońce już do góry piąć się zaczyna. „Skacz!” krzyczy baba do chłopca. „Póki nie za wysoko!” więc chłop Mateusz gałąź chwycił i skacze. Huk się straszny w borze rozszedł, babcie w oczach pociemniało, padła na ziemię zemdlna. Kiedy się ocknęła, ręką ani nogą ruszyć nie mogła. Patrzy, a to chłop Mateusz na niej leży i nie dycha. Wyczołgała się baba spod chłopca, wpół go bierze i do chałupy niesie, pod pierzynę położyć. Obłożyła go liśćmi i pajęczyną, trzy niedziele tak leżał. Aż wreszcie oko otworzył, na



SAMO ŻYCIE

Od niepamiętnych czasów trwa uświęcony zwyczaj wzajemnego obdarowywania się przy różnych okazjach. Tkwi tak głęboko w naszej naturze, że przeniknął również w sferę kontaktów służbowych przedstawicieli różnych zakładów i instytucji. Dobrze, gdy państwowa czy spółdzielcza firma ma odpowiednio wysokie fundusze na cele reklamowe i może sobie pozwolić na fundowanie suwenirów. Ale co począć jeśli funduszy brak albo są niewystarczające dla obdarowania wszystkich gości tłumnie firmę odwiedzających czy to ze względu na jej rozległe kontakty czy też atrakcyjność wyrobów wytwarzanych w ilościach nieproporcjonalnych do zapotrzebowania rynku?

Świetne wyjście z tej właśnie sytuacji życiowej znalazła pewna, znana fabryka mebli w R. Ponieważ zapotrzebowanie na meble rzeźbione nie jest zbyt wielkie postanowiono wykorzystać jedną tokarnię wieloczynnościową w ten sposób, że produkuje ona całkiem udane... rzeźby przedstawiające głowy starców. Przy pomocy maszyny jeden pracownik jest w stanie wyprodukować dziennie dwa nacięcia takich rzeźb, które przeznaczają się właśnie na suweniry dla gości zakładu...

Może nie są to wybitne dzieła sztuki, ale na pewno wyroby bardzo udane. Celowo nie podajemy ani pełnej nazwy zakładu, ani nazwy miejscowości bo i tak odwiedzających jest tylu, że dzienna produkcja upominków nie wystarcza. Dla ścisłości tylko podamy, że nazywa się te suweniry „dziadami”. Po prostu i swojsko...



UPO-MINEK



UPO-MINEK



dla Ewy



PROPONUJE W SWOICH SKLEPACH ŁÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO TEKSTYLNO-ODZIEŻOWE

746/K

POWIĘKSZENIA

NOWY RODZAJ WIZYTÓWEK

„Głos Robotniczy” pisze: sieradzkiego sportu są: aktualna mistrzyni Polski juniorek w halowym biegu na 60 m ppl. (...) i zapasnicy „Piasta”-Sieradz.” Wizytówkom radzimy rozłożyć autora na łopatki.

ROZPIESZCZANIE

„Marzec — miesiącem usług” — donosi „Dziennik Łódzki”. Zarząd Łódzkiego Związku Spółdzielczości Pracy obiecuje, nam w związku z tym szeregi usługowych atrakcji, m. in. skrócone terminy realizowania zamówień. Rzykowny to pomysł. A jak klientom poprzewraca się w głowach i przez cały rok będą chcieli być szybko obsługiwani?

BIEDNE ROBACZKI

Najpierw obiecywano nam nowe kąpielisko w stawie przy ul. Przedziałnej, potem spuszczone wodę i długo nie się tam nie działo, teraz okazuje się, że o kąpielisku nie ma mowy, bo woda w stawie będzie zanieczyszczona.

„Zamiast robaczek dla rybek — kajaki!” — pisze „Express Ilustrowany”. Oj, chyba rybki nie lubią kajaków!



Kaczka patroszona



KLASA I
NAJLEPSZA JEST PIECZONA
— NADZIEWANA JABŁKAMI
Łódzkie Zakłady Drobiarskie